Świat MŁODYCH

Nr 29 | WARSZAWA 22.VIII.1949 r. | 10 zł

PISMO MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ I SZKOLNEJ

„PRAWDA" — ORGAN CK WKP(b):

Nie ulega wątpliwości, że Festiwal Młodzieży Demokratycznej całego świata jest wymowną demonstracją niezłomnej woli walki młodego pokolenia o pokój i potęże imperialistom amerykańskim, że przyszłość należy do sił demokracji i postępu. Masy pracujące całego świata, a z nimi i młodzież — nie chcą wojny, lecącej w interesie zaciekłych podżegaczy wojennych.

„SZABAD NEP" — CENTRALNY ORGAN WĘGIERSKIEJ PARTII PRACUJĄCYCH:

Młodzież całego świata od San Francisco do Władywostoku, od Norwegii do Południowej Afryki, wystąpiła do walki w obronie pokoju. Światowy Festiwal Młodzieży w imieniu 70 milionów młodych, złoży ślubowanie, iż wiernie wytrwa w obronie najświętszej sprawy. Ta młodzież, która ślubuje, to przyszłość świata, przyszłość zaś świata — to pokój.

„TRYBUNA LUDU" — ORGAN KC PZPR:

Dwa lata minione od Festiwalu Kongresu w Pradze — były okresem, w którym walczące o zabezpieczenie pokoju siły demokracji i postępu ze Zw. Radzieckim na czele — mobilizowały do tej walki coraz szersze rzesze ludzi pracy na całym świecie. Fakt, że decydująca część młodzieży całego świata stoi niewzruszenie w szeregach bojowników o pokój, wolność i demokrację, w szeregach SFMD — jest jedną z poważnych porażek podżegaczy wojennych.

POLSKA AGENCJA PRASOWA DONOSI Z BUDAPESZTU O OTWARCIU FESTIWALU MŁODZIEŻY DEMOKRATYCZNEJ

Dnia 14 sierpnia 1949 r. Stolica Węgier przybrała wygląd odświętny. Gmachy zostały wspaniale udekorowane. Wszędzie widnieją sztandary, napisy i godła narodowe.

Od samego rana tysiące grup młodzieżowych z pieśnią na ustach przemierza miasto, setki zespołów artystycznych występuje we wszystkich jego dzielnicach.

„We wczesnych godzinach przedpołudniowych nieprzejrzane tłumy ciągną w kierunku położonego na przedmieściu stadionu „Ujpest", by wziąć udział w potężnej manifestacji otwarcia Światowego Festiwalu Młodzieży Demokratycznej. Zgromadził on 50 tysięcy młodych, reprezentujących 70 milionów młodzieży wszystkich krajów.

Przedstawiciel Komitetu organizacyjnego, witając przybyłych członków rządu i delegacje, wznosi okrzyk na cześć niezwyciężonego obozu pokoju ze Związkiem Radzieckim na czele. Publiczność wstaje i skanduje rytmicznie: „Obronimy pokój, obronimy pokój, obronimy pokój, obronimy pokój..."

Delegaci harcerscy na Kongres w Budapeszcie

Jerzy Berek — Przewodniczący Z.H.P.

Hanna Ostachowska — Z-ca Kom. Chor. Dolno-Śląskiej.

Czesław Kacz — Komendant Chorągwi Wielkopolskiej.

Czesław Ciapa — Komendant Chorągwi Dolno-Śląskiej.

BYŁA godzina piąta. Na stadion „Legii" ciągnęły tłumy Warszawiaków. Najwięcej jednak było dziewcząt i chłopców w koszulach zetempowskich i mundurach harcerskich. Wszystko to spieszyło na występ naszej delegacji festiwalowej.

Szedłem tam i ja z Wackiem. Z tym samym, o którym pisałem Wam już w poprzednim numerze „Świata Młodych".

Przy wejściu na trybuny stała grupa zetempowców w strojach góralskich. Wacek łypnął na nich okiem i niemal ryknął z zachwytu.

— Popatrz Jędrek, jakie mają ciupagi. Taką mieć, to by było dopiero!

Rzeczywiście ciupagi mieli całkiem „owszem, owszem". Ale, aby utrzymać swoją powagę (wiadomo — jestem przecież korespondentem „Świata) skinąłem ręką i powiedziałem:

— Ty to zawsze wyjeżdżasz ze swoimi głupimi uwagami. Mógłbyś przynajmniej być trochę poważniejszy. Masz przecież, chłopie, swoje 14 lat. Tak czy nie?

Wacek tylko odmruknął coś na to.

Usiedliśmy wreszcie na trybunach. Z naszego miejsca doskonale było widać scenę. W pierwszym rzędzie siedziało kilku przedstawicieli młodzieży kolonialnej. Koło pewnej Vietnamki stała mała polska dziewczynka (widzicie je na zdjęciu).

Za kilka minut miał się rozpocząć występ. Nagle Wacek zapytał.

— Słuchaj Jędrek, ja to właściwie jednej rzeczy nie rozumiem. Może ty mi wytłumaczysz? Powiedz, dlaczego urządza się takie festiwale i co one mają wspólnego z walką o pokój? Bo mnie wydaje się, że festiwal, to po prostu międzynarodowy konkurs artystycznych zespołów młodzieżowych.

— A to mi „wstawił klina" — pomyślałem. Prawdę mówiąc, to nie czułem się na siłach wytłumaczyć mu tego, choć wiedziałem, że Festiwal ma wiele wspólnego z walką o pokój. Na szczęście wyręczyła mnie w tym koleżanka z ZMP, która siedziała obok nas.

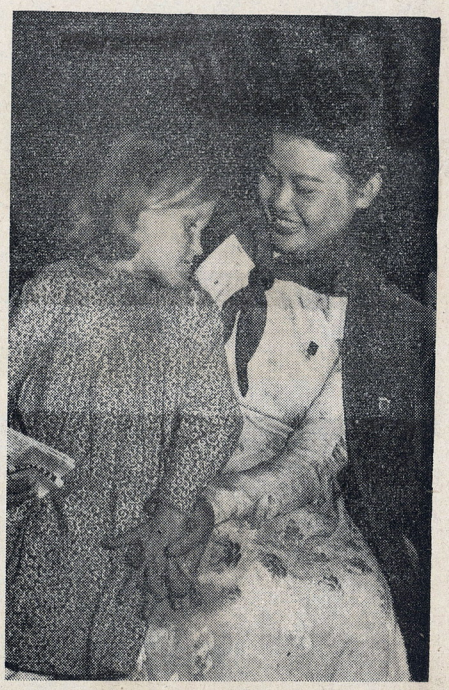

— Wam się, druhu, wydaje, że to taka trudna i zawiła sprawa. A wcale tak nie jest. Dlaczego? — zaraz wam wytłumaczę.

— Wiecie, co to jest Światowa Federacja Młodzieży Demokratycznej? — Wacek twierdząco skinął głową.

— To zapewne wiecie też — mówiła dalej, — że ŚFMD skupia na całym świecie kilkaset organizacji młodzieżowych i kilkadziesiąt milionów młodzieży. Młodzieży, która walczy o lepsze życie i wolność w krajach kapitalistycznych i kolonialnych oraz młodzieży, która to życie buduje, jak w Związku Radzieckim, u nas w Polsce, Czechosłowacji oraz innych krajach demokracji ludowej. Oprócz członków organizacji młodzieżowych jest na świecie wiele milionów młodzieży niezorganizowanej. Ta młodzież tak samo bierze udział w walce i pracy. W szeregach Greckiej Armii Demokratycznej, w oddziałach partyzanckich Vietnamu, Indonezji czy Hiszpanii walczy ramię w ramię.

Jak z tego wynika, sprawa, o którą walczy ŚFMD jest sprawą całej młodzieży postępowej, Dlatego ŚFMD cieszy się poparciem wszystkich młodych na całym świecie. I tych, co walczą i tych, co budują nowe życie. A jest ich wiele milionów.

— Ale, co to ma wspólnego z festiwalem? — zaciekawiony zapytał Wacek.

— Co? Bardzo wiele. FESTIWAL, TO NIE TYLKO MIĘDZYNARODOWY POKAZ ARTYSTYCZNY, ALE I MANIFESTACJA SIŁY ŚFMD. Przecież będą tam młodzi ludzie z całego świata, niemal wszystkich narodów, ras i krajów. Reprezentują oni całą postępową młodzież. To, co oni myślą i czują, czują i myślą wszyscy, którym utrzymanie pokoju leży na sercu. No i jeszcze jedna równie ważna sprawa: w Budapeszcie młodzież bezpośrednio spotka się ze sobą, pozna nawzajem i wyjeżdżając z festiwalu opowie w swoich krajach, jak to jest gdzie indziej.

— Chyba teraz zrozumieliście, dlaczego festiwal tak bardzo łączy się z walką o wolność i pokój.

— Tak, teraz rozumiem — odpowiedział Wacek.

Przyznać muszę, że i ja lepiej to zrozumiałem. Gdybym wcześniej wiedział, na pewno bym nie myślał — „a to mi wstawił klina".

A na zakończenie muszę dodać, że młodzież polska na pewno będzie godnie reprezentować nasz kraj na festiwalu. Można to było stwierdzić na tym pokazie. Ci, którzy nie widzieli go, niech żałują. A także nie powstydzimy się i postawy naszych młodych kolegów.

ANDRZEJ

Ankieta trwa

Przypominamy jeszcze raz, że już niedługo mija termin nadsyłania odpowiedzi na ankietę. Powinni wziąć w niej udział wszyscy czytelnicy. To leży w ich własnym interesie.

Wypowiadajcie się więc szczerze. Będziemy starali się spełnić Wasze życzenia, aby „Świat Młodych", który jest przecież naszym wspólnym pismem, był naprawdę dobrym przyjacielem wszystkich czytelników.

Oto wypowiedzi niektórych czytelników.

Jerzy Niziński z Żywca pisze: „Artykuły popularno-naukowe Wścibinosa i Haka bardzo mnie interesują. Można się z nich dowiedzieć mnóstwa nowych rzeczy, o których się wcale nie słyszało. Nie podobają mi się natomiast gawędy Pawła".

Mogą być jednak odmienne zdania, bo właśnie **Stefan Hawryluk ze Strzyżowa** mówi: „W gawędach Pawła ciekawi mnie wszystko".

Leszek Szymański z Warszawy domaga się, by poświęcać więcej miejsca pracom czytelników, a **Artur Gałązka z Pacanowa** przyznaje: „Jeśli byłbym redaktorem, zwiększyłbym dawkę humoru, zwiększyłbym kolejne odcinki powieści".

Bogdan Goździk z Warszawy mówi: „Artykułów, które by mi się nie podobały, mimo sumiennych poszukiwań, nie znalazłem".

A Ireneusz Martynowicz z Zabrza: „Dla harcerza dużą pomocą jest kolumna „W marszu", gdyż uczy ona, jak trzeba postępować, aby dobrze pracować, pokazuje złe i dobre strony pracy w prowadzeniu drużyny czy zastępu. Gawędy i artykuły są ciekawe, a każdy harcerz może z nich dużo skorzystać.

Władysław Panów z Wejcherka twierdzi, że należy pisać tylko o tych sprawach szkolnych, które stykają się z życiem ZHP i stopniami lub sprawnościami.

Czy zgadzacie się wszyscy z tymi kilkoma wypowiedziami?

Każdy czytelnik współredaktorem „Świata Młodych"! — oto hasło naszej ankiety.

F F P

(OD WŁASNEGO KORESPONDENTA)

Przepiękne, sierpniowe słońce przyświecało przygotowaniom do II Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Gottwaldovie.

Nie był to jednak zwykły festiwal filmowy. Różnił się od innych dotychczas urządzanych, tym, że komisja, oceniająca wyświetlane filmy składała się wyłącznie z ludzi pracy: robotników i rolników, przodowników pracy i nauki. W komitecie honorowym zasiedli obok przedstawicieli rządu czechosłowackiego i państw obcych (m. in. ambasador RP w Pradze L. Berkowicz) rolnicy, prowadzący wzorowe gospodarstwa, racjonalizatorzy, uczeni i wielu innych przedstawicieli czechosłowackiego społeczeństwa.

W tym roku postanowiła także i młodzież CSM wziąć udział w przygotowaniach do FFP („Filmowy Festiwal Pracujących"). A nawet, jak mi zdradził przedstawiciel CSM-u mają zamiar w przyszłym roku zrobić to całkowicie własnymi siłami. Wierzę, że im się to uda. A dlaczego, to zaraz napiszę. Otóż obok festiwalu dla dorosłych CSM zorganizował w tym roku bardzo pomysłowo, dziecięcy filmowy festiwal.

Naturalnie, że tutaj komisja składa się z młodych przodowników pracy, rolników, uczniów i studentów. Filmy tylko młodzieżowe, a po każdym seansie dyskusja z młodą publicznością. Oprócz tego ogłoszono konkurs na najlepiej napisane opowiadania, oparte na tematyce widzianego filmu. A teraz mała sensacja, Otóż powstał problem, czy młodzież szkolna, u której wiadomo — kieszeń uboga, zapłaci wejście do kina. Ale od czego pomysłowość?

Młodzi organizatorzy połączyli piękne z pożytecznym i ustalili cenę biletu dla młodocianych widzów na... 3 czyste butelki lub 1 kg papieru, albo starych szmat, które po festiwalu zostaną oddane do fabryki. W ten sposób przysporzy się państwu wiele cennego surowca. I jeszcze jedna ciekawostka. Obok najlepszych zespołów artystycznych z Czechosłowacji i zagranicy wystąpi w ramach festiwalowych uroczystości 300-osobowy młodzieżowy zespół ze szkoły przemysłowej zakładów Svit (dawniej Bata).

Młodzieżowy Festiwal Filmowy po znanej akcji „Młodzież rządzi Brnem" jest dalszym dowodem dojrzałości młodego pokolenia Czechosłowacji.

ZDZISŁAW OLENDERCZYK

Marzenie lotnicze

W NIEWIELKIEJ sali panuje mrok. Jedynie na jasnym ekranie blaski i cienie układają się w obrazy żywe, pełne ruchu. Słychać ludzkie głosy. Wtóruje im dyskretna muzyka. — Wyświetlany jest właśnie arcyzabawny film. Raz po raz wybucha niczym nieokiełznany śmiech — żywiołowy, radosny. To pasażerowie powietrznego ekspressu reagują na wesołe sytuacje najnowszej komedii.

...Równomiernie turkocze aparat. Równomiernie pracują silniki. Warkot motorów, stłumiony izolacją, dociera jednakże do zaciemnionego salonu, miesza się z charakterystycznym szmerem filmowej aparatury.

...Nagle harmonijną grę silników mąci jakiś zgrzyt. — Ledwo dosłyszalne nieregularności. Zmiana rytmu.

I oto jeden z widzów, siedzący w ostatnim rzędzie, nadstawia ucha, wstaje i kiwa głową. Po chwili opuszcza widownię...

Już jest na korytarzu, już otwiera drzwi ozdobione tabliczką:

„Dowódca statku".

Kabina urządzona jest skromnie, lecz ze smakiem. Na stoliku trzy purpurowe róże. Obok globus. Dalej deska rozdzielcza skomplikowanych przyrządów, a na niej wiele zegarów, wskaźników... Ekranik telewizyjny.

Mężczyzna w białym mundurze obserwuje z niepokojem drgnięcie ruchliwych strzałek... Odczytuje potrójny czas: moskiewski, władywostocki oraz miejscowy...

Rubinowa gwiazdka wskazuje miejsce, gdzie w danej chwili znajduje się samolot — precyzyjny aparat dokładnie informuje i wyklucza możliwość pomyłek...

...Czerwone światełko wędruje na wschód, przemierza mapę, pokrywa się dokładnie z kursem dzisiejszego lotu.

Komendant sprawdza diagramy, ilustrujące pracę silników. Jeden rzut oka wystarczył, by stary, wytrawny dowódca powietrznego statku zorientował się, że jeden z dieslowskich motorów działa wadliwie, przegrzał się, zużywa więcej materiału pędnego, niż należy...

Kiriejew sięgnął po słuchawkę — uzyskał połączenie.

Głos Rodczenki:

... — W tej chwili nie ma jeszcze powodu do obaw, towarzyszu komendancie... Zaraz zaczniemy szukać... Na pewno znajdziemy defekt...

Kiriejew odetchnął z ulgą. Rodczenko zuch. Da sobie radę, jeśli powiedział... — Kiriejew siada ciężko i zamyśla się. Odczuwa wielkie zmęczenie. Dzień dzisiejszy od samego rana pełen był kłopotów. Nerwy napięte, w pełnej gotowości.

...Dzień wstał niezwykle piękny. W przyrodzie panował spokój. Wielkie podmoskiewskie jezioro odbijało szafir nieba. W oddali bielały żagle łodzi. Powierzchnia wodnej rozlewy lekko się marszczyła. Wiaterek igrał srebrnymi kosmykami włosów Kiriejewa, gładził ogorzałe oblicze.

Śniadanie jadł w Północnym Porcie Lotniczym. I ledwo zaczął, gdy przemówiły głośniki megafonów:

... — „Dziś, o godzinie ósmej dziewiątej odbędzie się start powietrznego ekspressu do długodystansowego lotu na Wschód. Po raz pierwszy w dziejach świata samolot zabierze na pokład tylu pasażerów, co normalny skład ekspressu: Moskwa — Władywostok..."

Kiriejew uśmiechnął się. Bezwiednie dotknął czupryny i głęboko odetchnął.

...„Na pokładzie „Błękitnego Ekspressu" leci jego konstruktor — Mikołaj Mikołajewicz Kiriejew — znany działacz oraz uzdolniony technik... Wczoraj została nagrana na stilo rozmowa Kiriejewa z przedstawicielem radia. Za chwilę zostanie powtórzona...

Kiriejew słyszy swój głos. Kręci głową. I nie poznaje — dźwięki są obce, bezbarwne, chropowate. A może po prostu Kiriejew jest teraz zmęczony? —

...„Już w czasie wojny z Hitlerem miałem zamiar zabrać się do roboty i opracować plany transportowca — giganta... Musiałem jednak poświęcić się zajęciom bardziej pilnym. Front wołał wciąż o nowe i nowe samoloty bojowe. W przemyśle wojennym tkwiłem aż do zakończenia wojny. W 1945 roku powstały pierwsze rysunki... Bodźcem w pracy mej była świadomość, że jestem kontynuatorem wielkich rosyjskich konstruktorów lotniczych... Już w 1912 roku W. A. Slesarew przygotował plany samolotu — olbrzyma... Slesarew mówił: „Przyszły już czasy, w których puścimy w ruch... latające wagony..."

.....A ja wam oświadczam, towarzyszu — podniósł głos Kiriejew — że przyszły już czasy, w których pójdą w powietrze całe pociągi, całe ekspressy lotnicze..."

Radio zamilkło. Jedynie w uszach Mikołaja Mikołajewicza dźwięczały jeszcze słowa konstruktora Kiriejewa.

Powietrzne ekspressy. Latające pociągi. Uskrzydlone giganty.

×

Andrzej Piotrowicz Rodczenko był niewątpliwie jedną z centralnych postaci kiriejewskiego kolektywu. — W młodości — wychowywany na ulicy, później przygarnięty przez Kiriejewa, skończył szkołę średnią. W Instytucie Lotniczym wyróżniał się pracowitością — Zdolny, o umyśle docieklivym i bystrym, zwrócił od razu na siebie uwagę swych przełożonych. Wyspecjalizował się w budowie dieslowskich silników.

Słynny diesel „R-12" — był właśnie stworzony przez Rodczenkę — łatwy w obsłudze, niebywale ekonomiczny i niezawodny — oto jego zalety. Napęd „Błękitnego Ekspressu" stanowiły silniki konstrukcji Rodczenki. Było ich cztery — o łącznej sile przewyższającej 16 tysięcy koni mechanicznych...

...„Błękitny Ekspress" — szczyt nowoczesnej techniki, powietrzny kolos przeznaczony do pracy na dalekich szlakach Wschodu, był udoskonalonym typem tak zwanej łodzi latającej.

...Na pierwszym piętrze mieścił się oddział bagażowy oraz ładownia. Na drugim salon, kajuty sypialne (pasażerskie) oraz restauracja. — na trzecim piętrze mieściły się kabiny załogi, których drzwi wychodziły do obszernego hallu.

Na pokładzie „Błękitnego Ekspressu" było dość miejsca, światła i powietrza.

W przedniej części skrzydła, pomiędzy środkowymi silnikami w sali nawigacyjnej pracowała załoga — tu czynny był mózg hydroplanu. — Precyzyjne przyrządy i ludzie.

×

„Błękitny Ekspress" leci na Daleki Wschód. We Władywostoku oczekują z niecierpliwością jego przybycia — dwadzieścia ton ładunku przeznaczonego dla przemysłu, dwadzieścia ton niezbędnych aparatów, części zamiennych, narzędzi... — Sprawa była pilna, o znaczeniu ogólnopaństwowym.

Wezwano Kiriejewa:

— Towarzyszu inżynierze, ładujcie natychmiast żelastwo... i w drogę. Każda godzina jest cenna... Władywostok alarmuje... rozumiecie? ...

Kiriejew kiwnął głową. Wrócił do bazy. Obliczał. Porozumiał się ze swym zastępcą... Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że maszyna będzie przeciążona.

... — Dziewięćdziesiąt sześć miejsc sypialnych (pasażerskich) — sto pięćdziesiąt cztery siedzące... Razem z załogą będziemy mieli na pokładzie 265 ludzi. Teraz waga —

...Dwadzieścia trzy tony osiemset kilogramów....

...Materiały pędne...

...Sześnaście tysięcy kilogramów...

...Dobrze. Mamy więc 39 ton 850 kilogramów...

...Zgadza się — razem siedemdziesiąt ton i pięćset kilo...

Kiriejew zmarszczył czoło:

... — O pół tony za dużo, towarzyszu. — Dlaczego?

Pomocnik komendanta roześmiał się i machnął ręką:

... — Bo to Flegontycz...

... — Flegontycz waży 500 kilogramów?!... — żachnął się Kiriejew.

... — Nie. On waży zaledwie 90 Reszta to zapasy.

Kiriejew zrozumiał. Flegontycz — kucharz „Błękitnego Ekspressu" dbał o wyżywienie załogi i pasażerów. Nie mógł ich przecież głodzić w ciągu dziewięciu godzin lotu. Zapasy...

×

Hydroplan znajdował się w suchym doku. Wszystko już było gotowe. Ludzie czekali.

Nagle wody jeziora z szumem runęły do doku. „Błękitny Ekspress" zakołysał się i począł się unosić do góry. Po pewnym czasie poziom doku zrównał się z poziomem jeziora. Hydroplan wypłynął na przestwór, opuścił ciasne pomieszczenie...

Teraz zbliżył się holownik — cysterna. Długi wąż gumowy powędrował na pokład „Ekspressu" — nalężało tylko napełnić zbiorniki...

Hydroplan pił chciwie ropę.

— Gotowe!!!

O godzinie szesnastej latająca łódź została przycumowana do nabrzeża przystani. Natychmiast przystąpiono do załadunku owych dwudziestu ton... A oto zjawiły się autobusy z pasażerami. Za czterdzieści minut start.

— Wiatru, jak na złość nie ma... — odezwał się Kiriejew do swego zastępcy.

— Trudny będziemy mieli start, towarzyszu...

„Błękitny Ekspress" został wyholowany na środek wodnej drogi startowej, oczyszczonej uprzednio ze wszystkich statków i łodzi.

Droga wolna.

Ryknęły dieslowskie motory. Holownik odsunął się na bok, a hydroplan ruszył naprzód.

Istotnie, start był trudny. Wiatru ani śladu. Pełne obciążenie... Brzeg jeziora zbliżał się gwałtownie. Rozpędzony hydroplan nie mógł oderwać się od wody...

Sześnaście tysięcy koni mechanicznych poderwało w końcu łódź latającą — siedemdziesiąt ton i pięćset kilogramów znalazło się w powietrzu.

Kiriejew odetchnął z ulgą. Najgorsze mieli poza sobą.

×

Lecieli nad tajgą sybirską, nad ośrodkami przemysłowymi, nad osiedlami, zamieszkałymi przez ludzi prostych i dzielnych — górników.

...Około godziny 12 według czasu moskiewskiego przecięli Amur.

— Jesteśmy już prawie na miejscu... — pomyślał Kiriejew.

W dole majaczyło wielkie jezioro Hanko. Władywostok był tuż obok.

Oto wzgórza Suczan. Hydroplan schodzi niżej. Widać wody oceanu.

... — „Pacyfik..."

Lądowanie poszło na szczęście zupełnie gładko. Holownik podciągnął przybyłych do przystani.

Na dworcu lotniczym roiło się od ludzi. Tyle przecież słyszeli przez radio o tym latającym kolosie... I oto przybył do nich z dalekiej Moskwy.

Patrzą. Podziwiają. Nacieszyć się nie mogą.

— Ale ładny!...

— Olbrzym... Zuch Kiriejew...

— Widzicie? Reporterzy biorą załogę w obroty!... Nie dadzą nawet wypocząć...

Dziennikarze rozmawiają z załogą. Kiriejew jest oblężony. Rodczenko opędzić się nie może — nie lubi udzielać wywiadów...

Flegontycz — kucharz znakomity — wyciera swą wielką łysinę i skubie wąsa. Młody reporter czeka, co też powie Flegontycz...

Kok zaczyna wolno, poważnie:

— ... No, tak, towarzyszu, lecieliśmy, można powiedzieć... normalnie. Pierwszych dań było dwa: zupa „kołchoźna" i barszcz czarnomorski... Drugie danie... — Ej, młodzieńcze, a ty dokąd?! — Cztery drugie dania, jak powiedziałem...

Lecz niecierpliwy reporter dał nura w tłum i zniknął jak kamfora. Flegontycz wzruszył ramionami, wytarł znów łysinę i ruszył wolno przed siebie.

— ... Lecieliśmy, można powiedzieć — normalnie — mruczał stary kucharz.

W tym czasie Kiriejew mówił do Rodczenki:

— Myślę towarzyszu, że niedługo już przyjdzie czas, gdy będziemy latali dokoła świata bez lądowania. Wystartujemy w Moskwie i wrócimy do Moskwy. Trzeba będzie o tym pomyśleć. Następny typ samolotu. No, ale o tym już pogadamy później... Prawda?

— ... W Moskwie, po powrocie, pomyślimy o tym, towarzyszu — powiedział Rodczenko.

Samochód minął Orlą Górę. Z lewej strony widać było Zatokę Amurską i port, pełen rozmaitych statków.

Władywostok Przylecieli tu z Moskwy w ciągu dziewięciu godzin. A ileż czasu zajmie lot, który spróbuje opasać ziemię?

Kiriejew zapatrzył się — zamyślił — rozmowa urwała się. W genialnym umyśle konstruktora rysowały się już szczegóły nowej latającej łodzi... Będzie większa od „Błękitnego Ekspressu" — ponad sto ton...

Kiriejew już widział — widział owo cudo — widział jak leci, słyszał huk silników, czuł na twarzy pęd powietrza...

Opracował **J. J. G.**

Powyższe opowiadanie stanie się rzeczywistością w przyszłości. Wtedy, kiedy w ZSRR zostanie w pełni zrealizowany ustrój komunistyczny. (Red.)

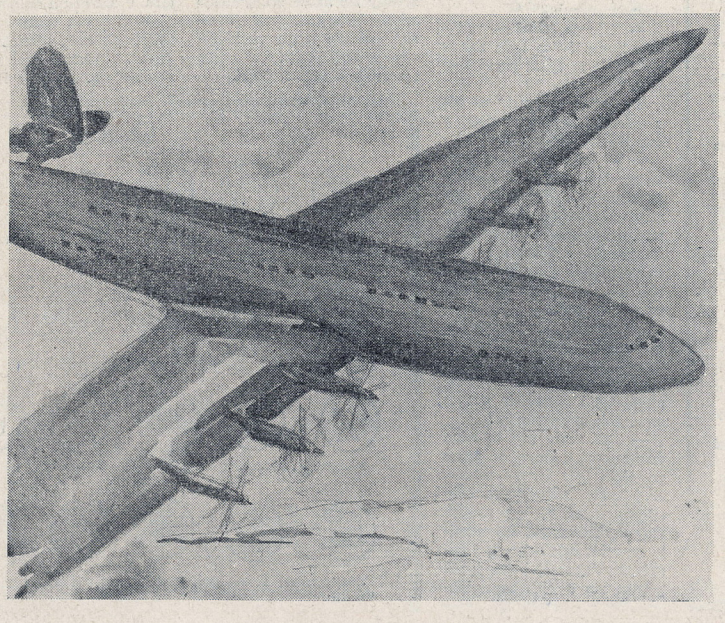

»KAZIK«

Trzecia męska drużyna siedzi w zetempowskiej świetlicy. **Harcerze rozlokowali się na krzesłach: patrzą i słuchają. Koledzy zetempowcy zaprosili ich na wieczornicę. Tematem jest działalność Janka Krasickiego.**

*

„Trójka" wróciła już z obozu. Z głowami pełnymi jeszcze obozowych wrażeń, zastępowi przychodzą na Radę Drużyny. Omawia się ważną sprawę: wybór patrona. Zastępowi siedzą niezdecydowani. Nagle wstaje Mietek:

— Proponuję na patrona drużyny Janka Krasickiego.

Chłopcom przypomina się zetempowska wieczornica:

— Tak, tak — krzyczy jeden przez drugiego.

— Zaraz! — wstaje Janek. — Niech Mietek uzasadni ten projekt.

Janek nie był na wieczornicy. Nie był na niej także Jurek, który myśli: „Gdyby wybrali Kościuszkę, albo Mickiewicza, to rozumiem! Ale Janek Krasicki? Kto to był?".

Jurek słucha słów Mietka.

— Chcę wam powiedzieć, co było na wieczornicy. Nie wiem, czy mi się uda... Może Zdzisiek? — i patrzy na kolegę.

— Mów, mów — krzyczą wszyscy, więc Mietek zaczyna:

— Widzicie, Janek Krasicki po śmierci Hanki Sawickiej został Przewodniczącym ZMP. Działo się to w czasie okupacji. Janek Krasicki, który miał wtedy pseudonim „Kazik" wraz z całą organizacją walczył o Wolną Polskę. Sam brał udział w wielu akcjach. Nie chodziło tu jednak o taką wolność, jak przed wojną. W przedwrześniowej Polsce źle się powodziło chłopskiej i robotniczej młodzieży. Nie miała ona dostępu do szkół. Ciężko było dostać pracę, a skoro już ktoś pracował — był wyzyskiwany. W czasie okupacji ludzie z ZMP powiedzieli sobie: my walczymy o inną Polskę, o taką, w której jeden człowiek nie będzie żył z pracy drugiego. Po wojnie — mówili — gdy będziemy mieli wolną Polskę, ziemię trzeba oddać ludowi. A młodzież? Młodzież musi mieć dostęp do szkół i bezpłatną naukę.

— Teraz tak jest — szepnął Jurek i zaraz umilkł, poczęstowany „sójką w bok" przez Zbyszka:

— Nie przeszkadzaj!

— Walczący zetwuemowcy — ciągnął Mietek — widzieli w Polsce sanatoria i uzdrowiska, widzieli sportowe stadiony i świetlice, czytelnie, kina i teatry, dostępne dla całej młodzieży. Ale nie myślcie, że to były tylko marzenia. Młodzi bojownicy wiedzieli, że sami będą taką Polskę budować, gdy wojna skończy się. A do tej pracy w wyzwolonej ojczyźnie trzeba się było z miejsca przygotować.

Janek Krasicki organizuje więc całą pracę oświatową. Między jedną a drugą akcją bojową w konspiracyjnych mieszkaniach lub gdzieś poza miastem, młodzież uczy się i dyskutuje. Janek Krasicki jest wszędzie: tłumaczy, wyjaśnia, uczy. Janek Krasicki — to duchowy przywódca młodzieży i jej wychowawca. Wydaje on wraz z innymi deklarację ideową, w której zawarte są cele walczącej młodzieży.

Przychodzi jednak 1943 r. 2 września Janek Krasicki ginie.

Ale jego dzieło rośnie dalej. Urzeczywistniają się idee ZWM. Teraz już wiecie, dlaczego proponuję na patrona drużyny Janka Krasickiego.

Mietek usiadł. Chwilę panowała cisza. Po chwili, jak na komendę, podniósł się gwar:

— Chwileczkę — woła Zbyszek — jeszcze ja coś powiem! Ja też byłem na wieczornicy i coś o Janku sobie zapisałem — szuka w notesie — jest! „Walka Młodych" — pismo które kiedyś redagował Janek. W „Walce Młodych" czytamy: „Uczył nas męstwa, — walczmy twardo, uczył nas wytrwałości — wytrwamy". I dalej: — „Życie jego jest dla nas drogowskazem. Idziemy dalej kamienistym szlakiem, którym on nas prowadził — do Wolnej Polski".

Po Zbyszku odezwał się drużynowy:

— Więc Janek Krasicki?

— Tak! — odpowiedział mocny, zbiorowy głos.

— Będziemy zbierać wiadomości o nim!

— Zawiesimy w świetlicy portret!

— Będziemy go naśladować!

A Stasiek — kronikarz notuje: „Patronem drużyny wybrano Janka Krasickiego".

Jutro to wpisze na czysto, zaś Jurek — rysownik musi naszkicować Mietka, jak przemawia. Oczywiście.

JANUSZ BUDYNEK

SAMI O SOBIE

Przyszły wszystkie na pierwszą powakacyjną zbiórkę, i te, które były na obozie, i te, co spędziły lipiec gdzie indziej. Przyszły znów, pełne zapału i nowych projektów. Bo wszystkie nieprzyjemne sprawy i kłopoty odchodziły jakoś w zapomnienie.

— Cudownie było na obozie — zachwycała się Hanka.

— Góry, wycieczki, ogniska! — wołała Władka.

Drużynowa jednak zgasiła tym razem ich zapał, mówiąc:

— Czy rzeczywiście wszystko było tak dobrze? Czy już nie pamiętacie, jak skarżyłyście się nie raz, że nudno, że pracy za dużo, że obiad przypalony?

— Po co tam dziś wywlekać nieprzyjemne sprawy? — skrzywiła się Hanka. Niech lepiej zostaną jak najmilsze wspomnienia.

— Pewnie! Pewnie! — pod chwyciły dziewczęta, oglądając obozowe zdjęcia i barwne karty kroniki.

— Nie! — powiedziała stanowczo, jak nigdy, Iza - drużynowa. — Chcę właśnie przed rozpoczęciem normalnych zajęć tę pierwszą zbiórkę poświęcić na wspólną ocenę naszej pracy w ciągu ubiegłego roku i na obozie. Chcę, żebyście wszystkie wypowiedziały się jak najszczerzej, co było u nas złe, a co dobre. Na błędach uczymy się wprawdzie, ale nie możemy tych samych pomyłek powtarzać po sto razy.

Po tych słowach przez chwilę zapanowało milczenie. Nawet wrzaskliwa Jola, z którą zawsze było najwięcej kłopotu, spuściła nisko głowę.

— No cóż? Nie macie nic do powiedzenia?

— Tak, ja mam! — zawołała Zosia. Dużo było rzeczy złych, ale to tylko przed obozem.

Wszystkie spojrzały na nią z wielkim zaciekawieniem, a ona ciągnęła dalej:

— W drużynie naszej wcale nie było życia i dobrego koleżeństwa. Wszystkie zastępy nie czuły się jedną gromadą. Sprzeczały się ze sobą wzajemnie. Bardzo dużo dziewcząt nie przychodziło na zbiórki, bo były one często ogromnie nudne...

Tu wszystkie oczy zwróciły się nieśmiało na drużynową. Pewnie się zaraz oburzy. Ale Iza słuchała z zainteresowaniem i nawet się w tym momencie uśmiechnęła?

— Tak. Nie jest to wina drużynowej, która w pracę wkładała tyle serca i zapału. A jednak coś jeszcze było między nami, że nie mogłyśmy się zrozumieć. Iza mówiła przecież tyle dobrych i pożytecznych rzeczy. Ale jakoś prędko się o nich zapominało. Po prostu nie trafiały do nas. Może dlatego, że były dla nas za trudne, a może wtedy nie mogłyśmy jeszcze zrozumieć łączności naszej pracy z życiem. Same pogadanki nie potrafiły tego dokonać.

— Nie, to nie prawda! — zawołała z oburzeniem Hanka.

— Nie przeszkadzaj jej. Niech skończy — powiedziała spokojnym głosem drużynowa.

— Nie, ona w tej chwili widzi tylko same złe strony, a nie mówi o tym, jak podejmowałyśmy rozmaite prace dla szkoły i dla miasta, jak wykonałyśmy czyn majowy i czyn na cześć Rady Związku. Nie mówi o tym, że zarabiałyśmy pieniądze na obóz, że były u nas w czerwcu dwie wspaniałe wycieczki, że naszym patronem jest teraz Pstrowski, że postanowiłyśmy naśladować go w pracy.

— To były tylko postanowienia — wtrąciła Zosia.

— A czyja to wina? Nie Izy, tylko nasza, że byłyśmy lenie obrzydliwe w ciągu roku i nawet na obozie.

— A jednak obóz przydał nam się bardzo — zauważyła Wiesia Wąsowska. — Nareszcie zżyłyśmy się lepiej. I tyle można się było nauczyć ciekawych rzeczy, które nam się teraz przydadzą w ciągu roku. A więc; jak urządzać świetlicę i bibliotekę, jak porobić ozdoby, jak organizować przedstawienia.

— I nazwa drużyny jakoś znalazła się sama, podczas zwiedzania kopalni węgla — powiedziała Danka. — Bo właściwie przedtem te różne „Motylki" i „Mewy", jak nazywały się nasze zastępy, nie miały żadnego sensu. Przecież one nie mogły przedstawiać naszej pracy, ani pracy i wysiłków innych ludzi.

— A mnie się wydaje — rzekła Władka — że dopiero na obozie zrozumiałyśmy naprawdę, że nasza praca i praca górnika czy robotnika — jest jednym. I to najważniejsze.

— Znowu mówicie o dobrych stronach — uśmiechnęła się Iza. — A przecież na obozie było także wiele kłopotów i trudności. Musimy sobie zdać z nich sprawę i starać się unikać na przyszłość.

— No tak, był u nas zwłaszcza na początku wielki bałagan i dziewczęta nie chciały słuchać — powiedz Jola.

Tutaj wszystkie wybuchnęły głośnym śmiechem.

— Dziewczęta, czyli ty przede wszystkim — rzekła Władka.

Okazało się, że wiele było jeszcze innych braków, że nie panowała w obozie doskonała karność, że dziewczęta wykręcały się często od zajęć, że poszczególne zastępy za mało wnosiły do ogólnego dorobku drużyny, że nie potrafiono obchodzić się ze sprzętem, że za dużo marnowało się nie raz czasu na rozmaite przygotowania.

— Wyciągnijmy z tego wszystkiego wnioski — zaproponowała Iza. — Widzicie same, że byłyśmy raczej drużyną słabą. Postanówmy, że będziemy bardzo dobrą. Na podstawie naszych doświadczeń ułożymy program pracy na nowy rok harcerski. A przedtem zastanówcie się nad tą sprawą w zastępach i spróbujcie ułożyć wasze programy pracy.

— My już wiemy, co i jak robić — zawołała mała Jadzia z zastępu Dźwigów.

— W takim razie wyślijcie te projekty do „Świata Młodych". Niech i inni z tego skorzystają.

B. T.

Oznaki

Muzyka: Alfred Gradstein

Słowa: Mirosław Łebkowski

Pieśń o braterstwie

Gdy tobie szumiał monsun,
pustynny wicher wiał —
mnie kołysankę do snu
bałtycki śpiewał szkwał.

Cóż znaczy kolor twarzy?
Cóż znaczy inny strój?
Brat jesteś i towarzysz,
bo wspólny jest nasz bój.

Refren:
To nie ważne, czyś czarny, czy biały.
Jedna klasa to; jeden lud.
Wspólnie z nami krocz śmiało,
bo połączył nas wspólny trud.

Utrudzoną od młota i radła
rękę bratu niech poda brat.
Na braterstwa kowadłach
wykujemy słoneczny świat.

Dla ciebie ja w Chorzowie
stalowy zrobię pług,
byś ty ryżowe pole
uprawiać dla mnie mógł.

Bawełnę z Kazachstanu
ja w Łodzi będę tkał,
by tragarz w Zanzibarze
koszule nową miał.

Ref.: To nie ważne itd.

Od ciebie w porcie Santos
otrzymam kawy wór,
a ja ci oddam za to
srebrnego żyta zbiór.

Gdy w Moskwie mróz jest tęgi
to mocno w piecu pal.
Ja tobie dam mój węgiel,
a ty mi twoją stal.

Ref.: To nie ważne itd.

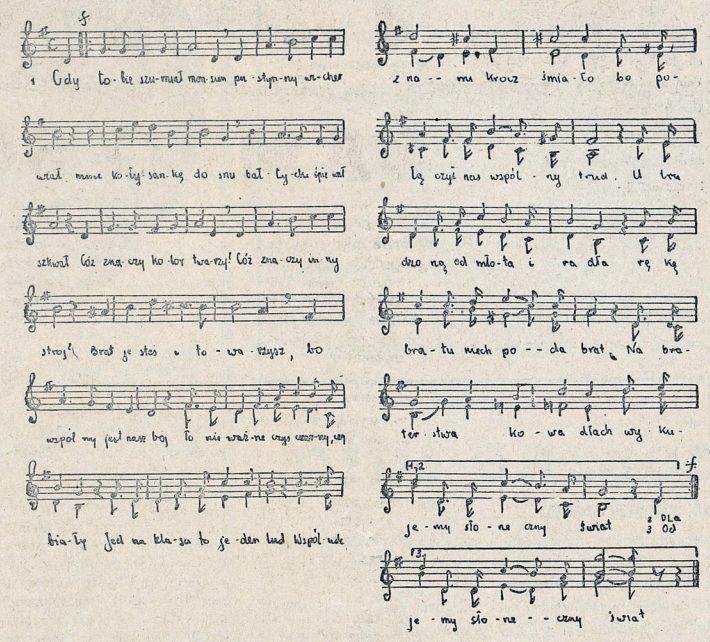

»Marsz Młodości« w Teatrze Polskim

NA SCENIE Teatru Polskiego w Warszawie gromada dziewcząt i chłopców. Na ścianie duży napis: „Budujemy nową szkołę".

Mocne dźwięki marsza. Widowisko się rozpoczyna. Dziwne widowisko. Aktorami jego są bowiem polskie dzieci, przybyłe na wakacje z Czechosłowacji. Treścią widowiska — praca, codzienne sprawy, marzenia i projekty.

— Nam młodym dano hasło: wyścig pracy — mówi z zapałem uczeń polskiego gimnazjum w Czechosłowacji.

Cała klasa zbiera się na naradę. Uchwalają: przyozdobić izbę szkolną, przygotować występy na Święto Pracy. Odbywa się próba obchodu. Tańce, śpiewy. Roześmiane twarze. Muzyka gra. Jesteśmy w nowej, twórczej szkole, która uczy jak wypełniać życie pożyteczną pracą; która uczy także radości.

Szkoła ta nie zamyka się w czterech ścianach wśród ławek i tablicy. Uczniowie gromadnie wychodzą potem na miasto, by wziąć udział w zbiórce odpadków, by pracować w miarę swych możliwości. Powstaje zespół mocny i świadomy swych zadań, który będzie zwalczał marnotrawstwo, który pomoże trafić — nie drogą pojedyńczych, oderwanych dobrych uczynków — ale codziennym wysiłkiem budować nowe, lepsze życie.

Stefek — leń i samolub nie znajduje tu miejsca. Wstydzą się go koledzy i koleżanki.

Młodzież szkolna idzie razem z ludźmi pracy: z górnikiem i hutnikiem, z rolnikiem i robotnicą. — Nowa szkoła to jesteśmy my. Musimy wybudować lepszą przyszłość!

×

Patrząc na tę roześmianą młodzież, występującą na scenie, wiedziałam, że mówi ona to szczerze, że naprawdę można wierzyć jej słowom.

W ostatniej odsłonie przedstawiają jeszcze ognisko młodzieży słowiańskiej w Polsce. Składają się na nie wiersze i doskonale wykonane tańce. Sala rozbrzmiewa od oklasków. Na scenę wnoszą kosze kwiatów. Przemawia po polsku dyrektor gimnazjum. A potem dźwięki hymnu polskiego i czechosłowackiego.

Praca, rozrywka, śpiew i radość — to nowa szkoła, to marsz młodości po nowe życie.

B. T.

KILKA RAD POOBOZOWYCH

NAMIOTY

Rozłożymy na boisku szkolnym; zaszyjemy wszystkie dziury i rozprucia. Linki i kołki („śledzie"), naprawimy, względnie wymienimy, oczyścimy z błota, ułożymy w paczki i owiążemy drutem lub grubym sznurkiem. Płótna namiotowe, oczyszczone z piasku i włożone do worka, schowamy do magazynu lub do piwnicy. Pamiętać trzeba tylko o tym, aby miejsce, gdzie leżą namioty, było suche.

SPRZĘT PIONIERSKI

Saperki czyścimy szklistym papierem tzw. szmerglem, trzonki wymyjemy gorącą wodą z dodatkiem sody i wysmarujemy łojem lub wazeliną, używaną do rowerów. Łopatki i siekiery naostrzymy, wyczyścimy tak, jak saperki, a jeśli potrzeba, wymienimy stare trzony na nowe.

Podobnie trzeba zrobić z łopatami i kilofami. Pamiętajmy o tym, że łopaty, łopatki i siekierki również naciera się wazeliną lub łojem.

NACZYNIA KUCHENNE

To najczęściej kotły, patelnie, łyżki wazowe (chochle) i inne drobniejsze sprzęty.

Po przyjeździe z obozu wszystko dokładnie umyjemy. Kotły wyczyścimy cegłą lub specjalnym proszkiem, aby nie było śladów sadzy. To samo z patelniami.

PRZECHOWUJEMY SPRZĘT

Najczęściej w piwnicy, jeśli drużyna ma własny magazyn, to — rzecz jasna — w magazynie. Worki z namiotami i maszty układa się równo na pokładzie z desek obok paczki ze „śledziami". Kotły i sprzęt kuchenny najlepiej przechowywać w skrzyni drewnianej, można też i w workach. Łopaty, saperki, siekiery i toporki, umieścimy w otworach, wyciętych w półce.

Jeśli posłuchamy tych rad, to w przyszłym roku na pewno przed obozem nie spotkają nas żadne „inwentarzowe niespodzianki".

sprawności

HSI donosi

Kutno nad jeziorem

HARCERZE hufca Kutno z miejscowości: Żychlin, Krośniewice, Dąbrowiec, Ozorowy, Mieczysławów, Strzelce w liczbie ok. 200 osób obozowali w powiecie grajewskim na Mazurach. Od pierwszych dni obozu ich opieką Urząd Powiatowy, Ośrodek Zdrowia i posterunek Milicji. Młodzież zorganizowała we wsi kurs sanitarno - ratunkowy pod kierownictwem wyszkolonych harcerzy. Prowadzono również punkt sanitarny, z którego wszyscy mogli korzystać bezpłatnie. Harcerze zorganizowali we wsi Kółko Głośnego Czytania, gdzie miejscowa ludność po pracy zapoznawała się z arcydziełami literatury polskiej i obcej. Urządzano także wieczory kulturalne, ogniska, gawędy. Harcerze prowadzili wypożyczalnię książek z własnego księgozbioru. Pomagali również przy budowie boisk sportowych, bieżni i skoczni.

W walce z powodzią

HARCERZE z hufca Wrocław — powiat, obozujący w górach Beskidu Wysokiego, dużo usługi oddali miejscowej ludności przy sianożniorach, przy porządkowaniu dróg leśnych, przy oczyszczaniu szkółek. Posłuchajcie, co piszą sami: „Zaraz po przeciwpowodziowej akcji, w której czynny udział brali nasi harcerze, podjęliśmy akcję naprawy dróg, zniszczonych przez naniesione kamienie. Następnie pomagaliśmy przy odbudowie basenu kąpielowego, który także przez powódź ucierpiał niemało i przy budowie zerwanych kładek na rzece".

Harcerskie Brno

PODOBNIE jak kiedyś młodzież słowacka w Brnie, harcerze z hufca Gniezno obozującego w Orle pow. Wałcz spróbowali na jeden dzień przejąć w swoje ręce władzę. Jeszcze poprzedniego dnia wytypowano kandydatów na wszystkie funkcje. Przekazanie władzy nowej Kadrze Grupy odbyło się bardzo uroczyście podczas apelu wieczornego. Praca, mimo młodego wieku Komendy szła normalnym trybem. Przygotowanie do obchodu na 22 lipca zostało bardzo dobrze zorganizowane. Po całodziennej pracy komendant i opiekun w krótkich słowach podziękowali wszystkim uczestnikom obozu za należyte pełnienie obowiązków. Próba sił wypadła dobrze.

Kornel Makuszyński

KORNEL Makuszyński, znany dobrze czytelnikom „Świata Młodych" z szeregu powieści młodzieżowych, to jeden ze świetnych humorystów w Polsce przedwojennej. Wielu smutnych musiały rozśmieszyć i wzruszyć jego powieści: „Perły i wieprze" i „Po mlecznej drodze" oraz liczne tomy humoresek, jak „Awantury arabskie", „Wesołe i smutne" i inne.

Poniżej drukujemy wyjątek ze wspomnień jego młodości pt. „Bezgrzeszne lata". Jakkolwiek sądzimy, że wielu z was czytało już tę książkę (często może pod ławką, na lekcji matematyki lub historii) z rozkoszą przeczytacie ten urywek jeszcze po raz drugi, gdyż niektóre książki Makuszyńskiego mają tę zaletę, że chce się wracać do nich wiele razy.

Bezgrzeszne lata

(mój pierwszy wiersz)

Godzi się to opowiedzieć, jak z miłego i porządnego chłopca za podszeptem szatana i wskutek tego, że go w chłopięctwie za wszystko bijali, rzadko zaś za to, co było zapowiedzią nieszczęścia, — wyrasta człowiek zgubiony, zmarnowany i niepożyteczny, taki słowem, co pisze wiersze i książki. Opowiadam to ze zgrozą ku nauce innych, których najpierw czart kusi, a wydawca potem obdziera ze skóry. Opowiem tedy, jak i kiedy przywidziony zostałem do zguby, nieszczęsny człowiek, którego teraz wytykają palcami z litościwym szeptem:

— Patrz, patrz! to ten, co tak pisze...

Za pierwszy wiersz uważam ten, od którego się liczy datę, potrzebną do jubileuszu, to znaczy do tej uroczystości, kiedy człowieka odziewają w stary frak, mówią niemądre mowy i ofiarują jeszcze jeden pamiątkowy, ale za to tandetny kałamarz ze statuetką kolegi Homera. Zabawne jednak są terminatorskie lata szewca poezji, należy więc zdarzenie w poetyckim żywocie poprzedzić wstępem krótkim, lecz nudnym.

Pierwszy w życiu wiersz napisałem, mając lat równo jedenaście. W owym czasie ludzie nosili jeszcze włosy i ja też. Ulegając temu nawykowi bezsensu, miałem czuprynę godną Buszmena. To widocznie przywiodło mnie do zbrodni. Byłem uczniem pierwszej klasy gimnazjum w słynnym mieście S...; dlatego słynnym, że była tam fabryka zapałek, która się paliła do fundamentów co pół roku; było to zajmujące i szczerą budziło we mnie radość. Innych powodów do sławy miasto to nie miało nigdy. To, że ja się tam urodziłem, nie poprawiło mu opinii.

W tym to mieście i w jego gimnazjum nauczał miłości Boga srogi ksiądz, który w imieniu wszystkich potęg niebieskich walił w kark twarde głowy, co było przyjmowane z pokorą wobec nieba. Jednego dnia jednak, kiedy po pogodnej nocy lód na stawku był jak szkło i kiedy dusze rżały z radości, wspomniawszy łyżwy, srogi ksiądz pod karą piętnastu milionów lat piekła zakazał chodzić na ślizgawkę.

Ha! To było straszne...

Stała się nam krzywda. Dusza moja, która miała wtedy jeszcze włosy na młodym, zapalczywym łbie, zapłonęła jak zapałka. Uśmiechnąłem się, jak szatan... Nie będzie ślizgawki? Dobrze! — Ale będzie wiersz! Nie! Nie wiersz, lecz satyra, taka, jakiej jeszcze świat ani miasto S... nie widziały: satyra krwawa, jak trzydziestoletnia wojna, jak rzeźnia miejska, satyra pełna żółci, octu, jadu, trucizn i klątwy.

Obliżałem pióro, umaczałem je w kałamarzu, a ponieważ na działa się na nie mucha — samobójczyni, otarłem je o włosy i jak szpon wparłem je w kajet.

Jęknęła sroga dusza srogiego księdza. Ja nic. Na twarzy śmiertelny spokój, śmierć i mar mur, w sercu burza, w ustach język wywalony na zewnątrz, gdyż to pomaga bardzo w tym wieku przy pisaniu.

Powstała w ten sposób jedna z najbardziej gorzkich satyr tego wieku. Ksiądz został sponiewierany.

Rymy były takie:

Naprożno jedza
w ubraniu księdza
z lodu nas spędza!
W pierwszej „b" klasie
w zimowym czasie
Nikt mu nie da się!

Druga zwrotka była jeszcze potężniejsza, ale jej już nie pamiętam. Nazajutrz dwie klasy pierwsze, oddziały „a" i „b" —

oszalały. Patrzono na mnie z podziwem, jak na bohatera. Osiem dziesięciu młodych idiotów powtarzało wspaniałe moje rymy z upojeniem i z zachwytem.

Ach! ach! jak krótką jest sława, jak marny los gotuje swojemu wybrańcowi! Znalazł się zdrajca, brzydki chłopiec, maminsynek, który ten cudowny poemat przepisał i zaniósł go podczas przerwy do księdza. Ksiądz nie poznał się na wzniosłości poematu: wziął mnie na kolano i trzecią strofę wypisał mi rytmicznie tam, gdzie nikt nigdy nie zagląda, aby czytać wiersze. Obok stała Muza i płakała. Ja zacząłem usta, choć ksiądz był mocny. Rozmyślałem potem, że nie powinni pozwolić, aby ksiądz był tak mocny w ręku.

Ha! ha! Ksiądz pobił mnie, ale nadaremne były jego wysiłki; nie zabił mojej sławy. Chodziłem w niej, jak w słońcu. Ba, nauczyciel matematyki uśmiechał się do mnie, choć byłem straszliwy w tej dziedzinie bałwan, ale matematyk i ksiądz nigdy nie są w komitywie. Łajdak który wiersz zaniósł do księdza, skończył marnie: jak rok długi nikt mu nie podpowiedział słowa, nikt mu nie dał odpisać pisemnego zadania, bez czego nawet geniusz nie może przejść do wyższej klasy. Mnie podpowiadali wszyscy, wszyscy dawali do odpisywania zadania rachunkowe męczennikowi.

Kiedy miałem lat dwanaście, napisałem wierszy bardzo wiele, uwielbiałem tematy historyczne, którym dawałem wspaniałe dostojne, olbrzymie tytuły — po łacinie. Wiersz „Vincobona" (o, młody idioto!) był haniebnym zdemaskowaniem cesarza Leopolda, którego Sobieski wziął na kawał z udanym ukłonem.

„Cesarz się bardzo po niemiecku dąsa,
Że Sobieski nie do czapki, lecz sięgnął do wąsa.
Więc na przyszłość cesarzu, popamiętaj o tem,
Że najpierw się masz kłaniać, a król polski potem!"

Czy to nie piękne wiersze? Cesarz w grobie zakrył rękami twarz. Wstydził się.

A wiersze miały powodzenie niesłychane. Pisane były pismem kaligraficznym i zawsze — zawsze! mówię — czerwonym atramentem.

Wielkim i o wielkiej sławie poetą stałem się w 3-ciej klasie gimnazjum IV we Lwowie. Miałem trzynaście lat i byłem straszliwie „bity" jako znawca literatury, w klasie trzeciej bez konkurencji. W matematyce zawsze bęcwał.

Sławę moją na niwie gimnazjum ugruntowało niebywałe zdarzenie,

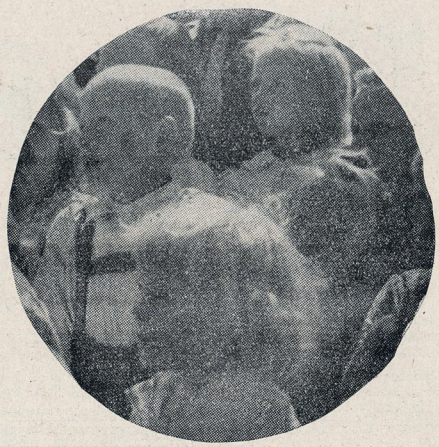

dnia... sierpnia, godz. 10 rano. Jesteśmy na warszawskich Bielanach. Nie — nie na wycieczce, tylko w odwiedzinach u waszych koleżanek i kolegów na półkolonii. Jest ich tu 120. Przyjeżdżają codziennie z Mokotowa i Żoliborza specjalnym tramwajem. Co tu robią? Dużo rzeczy. Ale po co z góry wyjaśniać?... Przejdźmy się najlepiej obiektywem fotograficznym po terenie (podpatrzmy trochę), a wszystkiego będzie można się dowiedzieć. A więc zaczynamy.

1 Ta grupa, to amatorzy robót ręcznych. W głębi namiot z narzędziami i materiałem. Władek zamyślił się. Robi półkę na kwiaty. Zajęcia praktyczne — to jego ulubiona lekcja. Nic dziwnego, że zajmuje się nimi i podczas wakacji. Nie tylko zresztą on. Ci młodsi także: ten struga deskę, tamten pyta instruktora, jak zrobić wycieraczkę.

Rysiek rysuje projekt ramy do obrazu i w tej chwili przypominają mu się „Przygody Mekiklesa Greka". To lektura szkolna, którą czytają tu z instruktorką. Niedługo ją skończą. Ale nie w taki zwykły sposób. Każde ze słuchaczy ma wymyśleć i przewidzieć zakończenie, zanim je pozna. Rysiek zastanawia się, co powie i czy zgadnie.

2 Czym ci chłopcy są zajęci Za czym biegną? Chyba łatwo się domyśleć, że piłka uciekła nam poza obiektyw. Ale nie zdążył uciec przed aparatem ani Kazik Parol, ani Stach Studniarek — dwaj przyjaciele, dwaj zapaleni gracze. Zresztą nie tylko gracze. Kazik, choć na to nie wygląda, bo jest niższy i drobniejszy od innych, piastuje godność „przewodnika" jednej z najstarszych grup (wszystkich grup jest tu 5, bowiem wiek uczestników półkolonii rozciąga się od 4 do 16 lat). Stach Studniarek „studiuje" zawsze „Świat Młodych". Jest harcerzem. Obydwaj chłopcy, jak i znaczna część ich tutejszych koleżanek i kolegów, stracili ojców.

Olek i Ala jadą na grzyby tramwajem

Wszystkie dzieci — to synowie i córki robotników. Prawie żadne z nich nie opuszczało tego lata Warszawy. Dlatego przez cały miesiąc przyjeżdżają codziennie na Bielany.

Nasz obiektyw trafia na Stefę Kołodziejską. Stefa znalazła przed chwilą na terenie półkolonijnego placu dwa grzyby. Wie nawet jakie. Zajmuje się przyrodą. Grzyby przydadzą się do zupy. Coprawda mówi się, że „dwa grzyby w barszcz, to za dużo", ale zupę gotuje się tu w ogromnym kotle. Zresztą jutro pewnie nie będzie ani jednego grzyba, gdyż nie zawsze można je znaleźć. Tylko, że obiad nie zawiedzie. Bo i obiady, i śniadania i podwieczorki „bielańskie" są dobre. Koszty wyżywienia wliczono już w ogólną opłatę, która jest bardzo niska. Niektóre dzieci nic płacą nawet wcale.

Ale wróćmy do Stefy. Stefa oprócz zbierania grzybów, lubi robić wycinanki i lepić gazetki ścienne w świetlicy.

Świetlica mieści się po środku placu w „szklanym domu", który wybudowany został w maju tego roku przez Wydział Wczasów Zarządu Miejskiego. Bo organizuje to wszystko właśnie Wydział Wczasów dla dzieci robotniczej Warszawy. Półkolonii, jak i kolonii takich jest bardzo wiele, ale tego obiektyw nasz już nie uchwyci, gdyż i tak zabrakłoby miejsca na stronicy.

Najwyżej można jeszcze spojrzeć, jak „półkoloniarze" kąpią się w basenie Akademii Wychowania Fizycznego, który mieści się o parę kroków stąd...

MIRON BIAŁOSZEWSKI

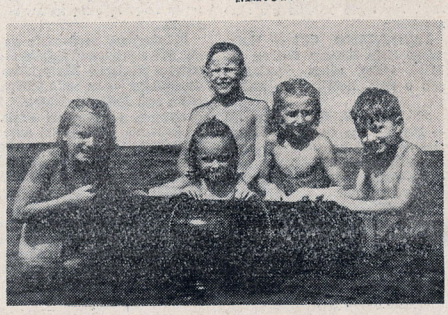

Kolega mój jeden — wieliki dandys, gdyż do mundurka miał zawsze białe rękawiczki, zakochał się. Oblubienica miała lat czternaście i zadarty nos. Podobno oświadczyła, że „wyjdzie" tylko za „poetę". Młodzieniec groził samobójstwem i z ponurą miną pokazywał nam scyzoryk który wciąż ostrzył o szkolną ławę i który w najbliższy czwartek(?) miał sobie zatopić w sercu. Już to miejsce, w które miał ugodzić zaznaczył czerwonym ołówkiem na skórze. Napawało nas to niepokojem i zgryzotą. O cóż szło? O wiersz? Więc niech kto napisze wiersz, a on powie, że to jego. W szkole się przecież zawsze odpisuje...

Ale nie tak zrobiono. Zakochany kolega ogłosił — konkurs. Najbardziej prawidłowy konkurs poetycki. Nagrody były niesłychane: zwycięzca miał dostawać na koszt fundatora konkursu przez dni dziesięć parę kiełbasek z bułką podczas wielkiej pauzy, ten bowiem niebiański przysmak sprzedawano w gimnazjum.

Obejrzałem się niespokojnie po klasie. Dwóch jeszcze oprócz mnie pisało wiersze, poza tym w klasie czwartej był jeden poeta, bardzo mocny. Leopold Staff i Józef Ruffer byli w innym gimnazjum, były to zresztą wiel kie potęgi już coś z ósmej klasy, tak, że do smarkaczów dochodziły tylko głuche o ich istnieniu wieści.

Wzięto miarę na poemat: zakochany idiota pokazał nam z daleka na ulicy swój ideał z zadartym nosem.

— Jak jej jest na imię? — zapytałem krótko.

— Jadwiga!

— Dobrze jest! — rzekłem.

Napisałem poemat o Jadwidze, tak cudownej piękności, tak rzewny i pełen miłości tak wiel kiej, iż jej oczy zaszły łzami. W poemacie tym naprostowałem jej nos, oczyściłem twarz, dodałem jej włosów. Konkurenci odpadli, jak gruszki z drzewa i odeszli we wstydzie. Wiersz mój, w zamkniętej wprawdzie kopercie, lecz osobiście wręczony „sądowi konkursowemu", który zagroził pobiciem każdemu uczestnikowi turnieju, gdyby się nie zgodził na jego wyrok — dostał pierwszą nagrodę. Musiał dostać! Rozdrapałem sobie serse : dwa rymy ukradłem Słowackiemu, ale uczciwie dopisałem z gwiazdką „Ze Słowackiego", co tylko wzbudziło podziw i nadało wierszowi poloru.

Triumf mój był niesłychany. Poeta z czwartej klasy złożył mi powinszowanie i mówił do mnie „kolego". Był to mocny — jak rzekłem poeta. Jest teraz ginekologiem.

Piórem po Warmii i Mazurach

Na Warmii i Mazurach (woj. olsztyńskie) znajduje się wielu autochtonów o niezatraconym poczuciu świadomości narodowej. Resztę stanowi ludność przybyła z innych stron Polski. Powierzchnia Mazur obejmuje około 14 tys. km. kw., Warmii — 4.300 km. Ziemia mazurska jest nieurodzajna, jednak wysoko postawiona kultura rolna nadrabia po części ten brak naturalnych warunków rolnych. Cała kraina posiada charakter morenowy, będący pozostałością lodowca. Jeziora porozrzucane w różnych kierunkach tworzą trzon krajobrazu. Jest ich przeszło tysiąc. Największe z nich, to Śniardwy (163 km kw. i Mamry (110 km kw.). Jeziora te są bogate w ryby, których dostarczają konsumentom liczne placówki Centrali Rybnej. Obok jezior duże znaczenie posiadają lasy. Są one przeważnie iglaste, z większością sosny i jodły.

Warmia — to jakby uzupełnienie Mazur. Tutaj ziemia jest urodzajna, dzięki czemu i miasta, i wsie rozwinęły się pomyślnie. Ucierpiały one jednak mocno od działań wojennych. Klimat Warmii jest raczej chłodny, a bliskość jezior powoduje częste mgły i zachmurzenia.

Serce tych ziem — to Olsztyn, któremu wypada poświęcić kilka słów. Jest on miastem wojewódzkim, liczącym 45 tys. mieszkańców. Początki jego datują się z lat 1338 — 1348. Ze starego miasta pozostał dziś zamek, przeobrażony na muzeum, katedra i tzw. „Wysoka Brama. W Olsztynie przebywał i działał Kopernik, który zapisał się w kartach historii jako lekarz i obrońca miasta. Olsztynianie wznieśli mu pomnik z napisem: „Naszemu Obrońcy".

Mimo licznych zniszczeń miasto nie straciło swego uroku (zresztą odbudowuje się w szybkim tempie). Położone w dolinie rzeki Łyny wzbudza zachwyt mieszkańców i licznych wczasowiczów. Nic więc dziwnego, że uczestnicy warszawskiej wycieczki uznali Olsztyn za gród, w którym można się zakochać. Jako miasto nowoczesne, posiada dwa dworce kolejowe, dworzec autobusowy oraz tramwaje i trolleybusy.

Nie można pominąć również akcji żniwnej, którą podjęły instytucje olsztyńskie w ramach kampanii „Miasto — wsi". Akcja daje dobre wyniki. Będzie dużo chleba.

JULIUSZ PĘGIEL—
Warszawa

G. BOROWSKA — Ponieważ nie zdążyliśmy ci odpowiedzieć przed 30 czerwca, a miałaś wyjechać do Lęborka, więc robimy to dopiero teraz. Dziękujemy Ci przede wszystkim za list. Był on naprawdę bardzo szczery. Napisz do nas, jak spędziłaś wakacje.

ROMAN SREBRO — Niestety, nie znamy odresu Sławka, żeby zająć się jego sprawą w tej chwili. Był on u nas tylko przy padkowo.

JERZY WITKOWSKI — Prosimy bardzo o dokładne podanie artykułów, które ci się tak „podobały".

EWA Z MYŚLENIC — zainteresowało nas, jak starczą Ci czasu na pracę w tylu organizacjach. Napisz może jakie opowiadanie o działalności jednej z nich. Co do tego artykułu, odpowiemy wkrótce.

HENRYK KOZAK — Oczywiście, że możesz zająć się wspólną prenumeratą.

WALDEMAR KAMIŃSKI — Najlepszy jest wiersz „Harcerze". Na razie jednak nie skorzystamy.

FERDYNAND CIS — Naturalnie Koło Koresp. możesz założyć, tylko zaraz zawiadom nas o tym. Dowcip nie nadaje się.

MATYJA T. Czechosłowacja — Pisz do nas częściej. Wiersze jeszcze są słabe. Czytaj dużo dobrych książek. Napisz nam coś o życiu Twojej grupy w Czechosłowacji.

EUGENIUSZ NOWAK, — Adres, o który prosisz: „Administrace" Casopisu junacke mladeże „Junaci Vpred" Praha CSR. Herby wykonuje Centr. Składnica Harcerska w Warszawie ul. Łazienkowska.

BRUNON BROŻYNIAK — Redakcja nie straciła jeszcze cierpliwości i napewno jej nie straci. Twoje uwagi na temat pisarza Vernego są bardzo ciekawe.

MIECZYSŁAW GĘBCZAK — Zdjęcia, jeśli są dobrze wykonane, prosimy przysłać.

IRENEUSZ MNICH. — Być może przedłużymy termin.

LEON OSTROWSKI — Pisz jak najczęściej listy i próbuj pisać artykuły. Legitymacja wtedy z pewnością cię nie minie.

JERZY KREŚLIŃSKI — Zjazd korespondentów odbędzie się prawdopodobnie w czasie ferii zimowych.

CZYTELNIK Z KATOWIC, który zapomniał się przez roztargnienie podpisać, może znaleźć artykuł o zmontowaniu radioodbiornika w poprzednim numerze.

KAZIMIERZ BUKOWSKI — Chcąc zostać korespondentem, musisz po prostu pisać do nas często listy, sprawozdania, reportaże, czy wywiady.

H. FAŁCZYK — Koło koresp. może istnieć przy drużynie jeśli w Twoim mieście nie ma innego.

TADEUSZ SANECKI — W sprawie Szkoły Morskiej zwróć się do powiatowej komendy SP.

JACEK Z WARSZAWY — W sprawie poszukiwanych adresów zwróć się po prostu do Kom. Chorągwi Mazowieckiej, ul. Wiejska 17.

„SZTORM" — BYTOM — Jeśli nie jesteś harcerką, to nie potrzebujesz odpowiadać na pytania dotyczące się spraw harcerskich.

Dziękujemy serdecznie za listy Mieczysławowi Hakinowi, Sępowi z Myślenic, Marysieńce Żelazowskiej — za miłe pozdrowienia z nad Bałtyku, Kursowi Drużynowych z Chorągwi Krak. — za życzenia z okazji 25 numeru.

JESZCZE RAZ PRZYPOMINAMY, ŻE NA LISTY ANONIMOWE LUB PODPISANE PSEUDONIMEM — NIE BĘDZIEMY ODPOWIADALI.

Jeśli ktoś nie chce, aby odpowiedzieć mu w poczcie pod nazwiskiem, niech zaznaczy to w liście i poda obok nazwiska pseudonim, pod jakim należy udzielać odpowiedzi.

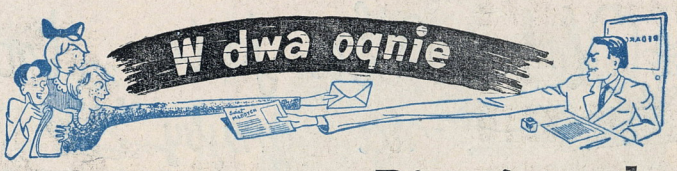

Wakacje w Pieninach

Zaraz za Krakowem wszystkie głowy ciekawie wychylały się z okien wagonu. Za oknami pojawiły się wzniesienia, te zaś stopniowo przeobrażały się w pagórki, które z kolei wyrosły na pokaźnej wielkości góry. Ogólne zaciekawienie wywołał okrzyk jednego z kolegów:

— Patrzcie, Tatry, polskie góry — w i t a j c i e!!!

Wycieczka nasza przybyła wreszcie na miejsce przeznaczenia. Było to Krościenko nad Dunajcem, oddalone o 6 km. od Szczawnicy. Usadowiliśmy się w pięknie położonej willi „Azetce" (powinno być raczej — Wuzetce), i rozpoczęło się wspaniałe życie.

W całej chyba Polsce nie ma tak czarującego zakątka, jak ta część Pienin. Wśród niebotycznych gór, porośniętych gęsto drzewami szpilkowymi, wije się nagłymi skrętami Dunajec, po którym mkną tratwy, kierowane wprawnymi rękami górali. Na zboczach, porośniętych soczystą trawą pasą się, pobrzękując dzwoneczkami, owce. Płynie wśród gór, odbijając się echem stokrotnym, piękna piosenka góralska. Z wysokich szczytów roztaczają się wspaniałe widoki. Byliśmy na Sokolicy, Czerteziku, Lubaniu, Trzech Koronach i w wielu innych miejscach. Z Trzech Koron widać piękny i słynny przełom Dunajca, widać Czerwony Klasztor po czeskiej stronie, widać wielką połać kraju bratniej Czechosłowacji. A cały ten wspaniały widok masz, bracie, tuż, tuż... u stóp. Doprawdy, aż serce mocno bije z zachwytu, radości i wzruszenia.

Podczas naszych wycieczek zwiedziliśmy także dwa zabytki: zamek czorsztyński, nie wiadomo jakiego pochodzenia, stary, tysiącletni i zamek Niedzica z salą tortur i więzieniem, gdzie miał przebywać legendarny bohater ludu góralskiego — Janosik.

Dużo rozmawialiśmy z tamtejszą ludnością. Górale, to ludzie przyjemni i przyjacielscy. Są bardzo muzykalni. Co wieczór przez otwarte okna wpadały tony pieśni, śpiewanych na głosy, przez młodych górali. Zauważyłem ciekawą rzecz. Otóż w niedzielne popołudnia — starzy, brodaci bace, zamiast grać w karty, czy pić w wyszynku (jak to niestety często się dzieje w innych miejscowościach), chodzili grać w kręgle. W obszernej szopie z torem usypanym z piasku, bace brali w ręce duże drewniane kule, wolno je rozmachiwali i — kula pędziła już po nasypie, aby za chwilę przewrócić „kołki" (tak tu nazywają kręgle).

Ale nie sądźcie, że nie robiliśmy tutaj nic innego, oprócz wycieczek, chodzenia po górach, leżenia i tycia (wskutek dobrego odżywienia i górskiego powietrza, niektórym kolegom, a szczególnie koleżankom, przybyło po kilka kilo żywej wagi). Co kilka dni były u nas pogadanki kulturalno-oświatowe, codziennie zaś sprawozdania z prasy. Na dzień 22 lipca wspólnie z innymi koloniami i obozami har

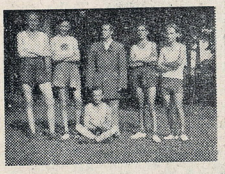

cerskimi przygotowaliśmy ognisko - akademię, obrazującą dzieje Polski od 1939 do 1945 roku. Bohaterska obrona Warszawy, partyzantka, wyzwolenie. Właśnie wyzwolenie — to była nasza część. Zabrzmiał Marsz Pierwszego Korpusu i „Oka". Później Manifest P.K.W.N., a wreszcie odbudowa i — praca, praca, praca. Akademię powtórzyliśmy drugi raz — tak się podobała.

W ramach Czynu Lipcowego odbywały się w Krościenku zawody lekkoatletyczne i rozgrywki w piłce siatkowej. Zgłosiliśmy swoją drużynę i... zostaliśmy wicemistrzami Krościenka, ulegając tylko bardzo silnej drużynie miejscowej.

Wreszcie przyszedł odjazd...

ARTUR GAŁĄZKA
Busko—Zdrój

(na fotografii—oznacz. kropką)

Ostatnia odprawa

Ranek. Na dworcu towarowym w Warszawie krzyk, nawoływania, śpiewy. To przyjechali harcerze i harcerki z warszawskich hufców: Grochów, Wola i Żoliborz, powracający z obozów na Ziemi Lubuskiej.

Oto wyskakują na perony. Wszędzie ich pełno. Wszyscy roześmiani, opaleni, tryskający zdrowiem. Padają komendy. Obozy ustawiają się karnie w szeregach. Tymczasem do wagonów podjeżdżają samochody, aby odwieźć sprzęt obozowy do siedzib hufców.

Nagle... gwizdek...

— Komendanci hufców — do mnie! — to hufcowy Żoliborza urządza widocznie ostatnią odprawę. Podsłuchajmy, co będzie mówił...

— Druhowie! — zamierzam zrobić ostatnią wspólną wycieczkę całej grupy na Trasę W—Z. Jak zapatrujecie się na mój projekt?

— Ale ha..., ale ha..., ale haraszo — oto odpowiedź.

— Naturalnie, idziemy wszyscy.

Za chwilę opuszczają zwartymi szeregami teren dworca. Chodźmy i my z nimi.

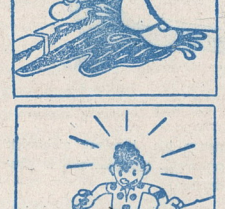

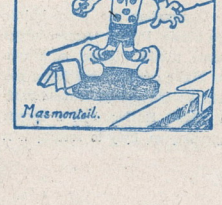

Idziemy ulicą Towarową. Po prawej stronie widnieją jakieś mury — to powstają największe w Europie Środkowej zakłady poligraficzne i wydawnicze — Dom Słowa Polskiego. Potem „Kercelak", zupełnie inny, niż ten, jaki znamy z felietonów Wiecha — zamiast bud i gołębników widzimy plac, pełen zieleni, słońca... widzimy zaczątki nowej dzielnicy.

Dalsza droga prowadzi już Trasą W—Z.

Jeszcze przed trzema miesiącami wznosiły się tu stosy gruzów, a dziś... dziś stoi tu przepiękna kolonia mieszkaniowa. Tak, jak gdyby nigdy nic innego tu nie stało. Zbliżamy się do placu Bankowego. Już z daleka błyszczy złoconym czubem pomnik „Grubą Kaśka", którą jakiś dowcipniś nazwał żartobliwie imieniem jednej z druhen — „Grubą Małgośką". Nieco dalej pałac Radziwiłłów, istne cacko. Po drodze powszechne zainteresowanie budzą nowe tramwaje, lecz i one muszą ustąpić miejsca tunelowi, no i... kolumnie Zygmunta. Jesteśmy na placu Zamkowym. Wysoko ponad naszymi głowami wznosi się sylwetą Zygmunta III. Nie sposób pominąć milczeniem piękna kamieniczek Małachowskich, Prażmowskich, Johna, Reesslerów, nie mówiąc już o kościele św. Anny, czy bernardyńskiej dzwonnicy. To wszystko oglądać trzeba samemu.

Później — droga wiedzie przez wiadukt, nad Marienszatem, most Śląsko - Dąbrowski i Wiślostradę. Słucham piosenki: „Szumem morza wabi siny brzeg, wzywa pieśń Warszawy" — to idą ze śpiewem nasi koledzy z brygad SP.

A oto i Dom Harcerza przy ul. Pogonowskiego. Na małym placyku drużyny ustawiają się w czworobok. Krótki raport. Odczytanie rozkazu. Dolatują do mnie pojedyncze zdania:

...Druhowie... Po powrocie do Warszawy zwiedziliśmy Trasę W—Z, która nie jest tylko ulicą warszawską, lecz i symbolem rozbudowy Polski. Do tej rozbudowy i my, harcerze Obozów Grupy „Żoliborz" wnieśliśmy swój wkład... Obóz tegoroczny dowiódł, że jesteśmy mocno, nierozerwalnie związani z klasą pracującą Polski, że jesteśmy jej częścią.

A potem: CZUJ! CZUWAJ!!! — i łzy w niektórych oczach.

WALDEMAR MAKOWIECKI
Warszawa

HARCERZE JADĄ DO BUDAPESZTU

— Co? Znów wizyta z redakcji? — pyta niewysoki druh w mundurze instruktora harcerskiego. — Źle trafiłyście koleżanko, bo za godzinę jedziemy na próbę do Warszawy.

— A więc wybrałam się trochę nie w porę — zwracam się do niego ze śmiechem, nie zrażona zbyt zimnym powitaniem. — Nie martwcie się jednak, nie zabiorę wam zbyt wiele czasu.

— Nie, nie, nic nie szkodzi. Już przywykliśmy do tych wizyt.

×

Jesteśmy właśnie w Turczynku. Obok pięknych budynków zetempowskiego ośrodka szkoleniowego stoją namioty. Jest ich dużo. Nad każdym powiewa kolorowa chorągiewka.

— To flagi państw reprezentowanych na Festiwalu. Będzie ich około 60 — objaśnia druh Łętowski, kierownik grupy harcerskiej, ten sam, co tak „ucieszył się" z mojego przybycia.

Na wysokim maszcie, umieszczonym pośrodku placu widać czterokolorową flagę SFMD (czerwono-biało-zielono-niebieską).

Z sąsiedniego budynku dochodzą słowa znanej ludowej piosenki: „Idzie dysc, idzie dysc". To chór harcerski przygotowuje się do występów. Idziemy tam. Po drodze druh Łętowski opowiada o zajęciach obozowych grupy harcerskiej jadącej na Festiwal.

— Pobudka o godz. 7. Od 9 do 12 zajęcia przygotowawcze. Jest to przecież grupa artystyczna, która ma reprezentować polski taniec, śpiew, inscenizacje, polskie regionalne stroje...

— Jednym słowem dajecie tylko polskie pokazy? — wtrącam.

— Nie, niekoniecznie. Będą naprzykład dwie bardzo ładne piosenki węgierskie. Cały program jest dość urozmaicony. Harcerze dają tylko małą jego cząstkę: parę piosenek, kilka tańców (kujawiak, mazur, krakowiak), inscenizację o naszej pracy i montaż ludowy „W naszej wiosce ucieche". A poza tym weźmiemy jeszcze udział w ognisku dla „Republiki Pionierskiej" na Węgrzech.

Na schody wybiega kilka dziewczynek.

— Dziadku, dziadku! — wołają ze wszystkich stron do druha Łętowskiego.

— A kiedy pójdziemy na próbę?

— A kiedy będzie obiad?

— A mój mundur jest jeszcze mokry, więc co mam zrobić?

„Myszka", to jest właściwie Tereska Czarnocka, obejmuje go nawet za szyję.

— Mój kostium jest jeszcze niegotowy — mówi.

— Nic się nie martwcie. Wszystko będzie na czas — pocieszа druh Łętowski.

W korytarzu na ścianie wisi gazetka ścienna „Jedziemy". Redagują ją sami.

W sypialni już przedwyjazdowe zamieszanie. Jadzia związuje włosy czerwoną wstążką.

— Ona będzie kowalową — objaśnia Krysia Rafalska.

Z bocznych drzwi wybiega kilku chłopców. To harcerze z 40-tej drużyny poznańskiej im. Chopina, sławny poznański chór. Jest ich trzydziestu. Oprócz chłopców są na obozie 23 dziewczęta z 82 W.D.H. Przebywają tu wszyscy od 1 lipca. Już nie mogą się doczekać, kiedy razem ze starszymi kolegami z ZMP wyruszą w daleką drogę na Węgry.

— Nie przykrzy wam się tutaj?

— Ale skąd! — odpowiada rezolutnie Tereska. Przez cały dzień są różne ciekawe rzeczy. Najpierw próby tańca i śpiewu, potem pogadanki.

— Wszystkie zresztą bierzemy udział w pogadankach — dodaje Ola. Zwłaszcza kiedy coś specjalnie nas interesuje. Na przykład porównywało się wyniki pracy u nas i zagranicą. Ogromnie byłyśmy ciekawe, jak to jest gdzie indziej. Czy tak samo wszyscy rozumieją, że od ich pracy zależy dobrobyt w całym kraju. Cieszymy się bardzo, że będziemy mogły zobaczyć przedstawicieli innych krajów i dowiedzieć się od nich choć trochę, jak tam się żyje.

Inne dzieci podchodzą także. Na ogół wszystkie są przejęte, że przypadło im w udziale reprezentować Polskę przed całym światem. Widać po nich, że chcą naprawdę, aby to wypadło jak najlepiej. Nawet dziewięcioletni Krzyś Danecki martwi się, żeby nie dostać tremy. Zaś Andrzej Woźnicki — solista, co ma dopiero 10 lat, mówi:

— Ja się tam wcale nie boję. Ja umiem śpiewać „Dwa Michały". Ale jak co innego się nie uda, to będę strasznie zły.

— A co tam będziecie mówić o Polsce? — pytam.

— O, bardzo dużo! — Urządzaliśmy przecież rozmaite wycieczki. Widzieliśmy żłobki, domy wypoczynkowe, majątki państwowe, spółdzielnie rolnicze, fabrykę jedwabiu w Milanówku. Możemy o tym wszystkim opowiadać.

Ktoś na schodach śpiewa węgierską piosenkę. Niestety, nie rozumiem ani słowa. Ale myślą wybiegam daleko za Turczynek. W tej chwili przecież tysiące dzieci i młodzieży w różnych częściach świata przygotowują się także na Festiwal. Mała Wiera i Griszka ćwiczą pewnie rosyjskiego „kozaka", a Jarmila szyje chyba barwną spódniczkę do narodowego czeskiego tańca „Beseda". A potem pomyślałam, że właściwie nie wszędzie i nie wszystkie dzieci mają możność cieszyć się dziś z Festiwalu.

Mały Sambu w Vietnamie drży pewnie o los walczącego ojca, a Achilles z Grecji jest w tej chwili głodny. Dla nich właśnie, dla tych przede wszystkim dzieci z Grecji, Hiszpanii, Vietnamu, Indonezji podniesie się na transparentach w Budapeszcie wielkimi literami wypisane hasło: Chcemy pokoju! Walczymy o wolność!"

BARBARA TRYFAN

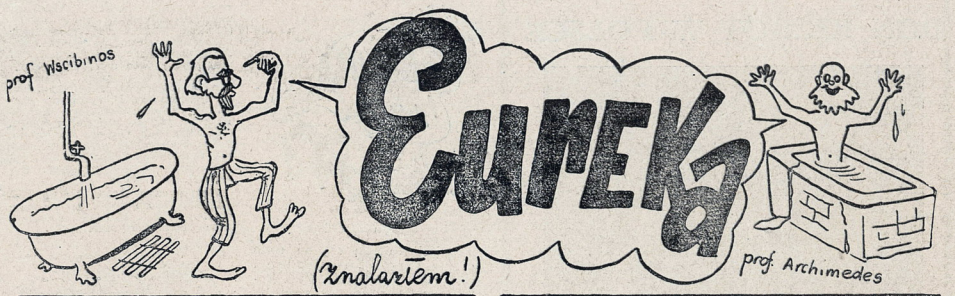

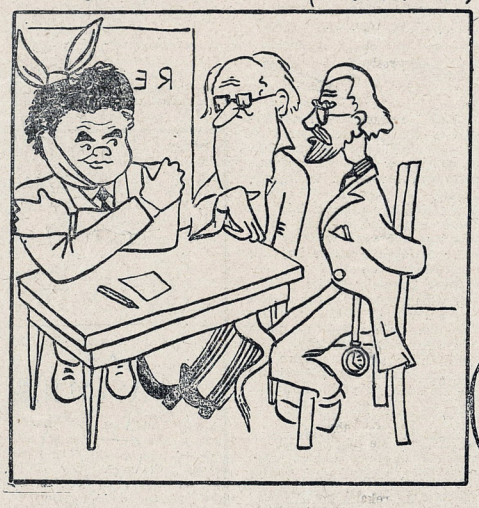

REDAKTOR NACZELNY „ŚWIATA MŁODYCH": Wyjeżdżam wraz z moim zastępcą na Festiwal. Co zrobić, żeby wszyscy wiedzieli, że nasze pismo ma swoich delegatów w Budapeszcie?

DZIADZIO CHMIEL: Może wymalować wam krawaty w tytułowe winietki „Świata Młodych?".

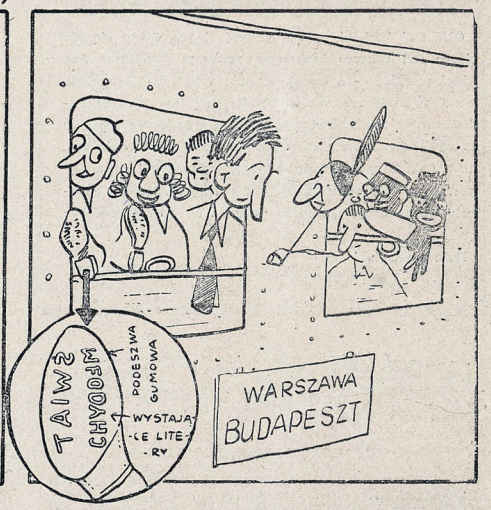

PROFESOR WŚCIBINOS: Eureka! Mam myśl! Zrobimy z podeszew stemple!!!

GŁOS REDAKTORA NACZELNEGO: Jeżeli będziemy przez całą drogę stać na rękach tak, jak teraz — to pomysł się uda. Nie zniszczymy podeszew - stempli.

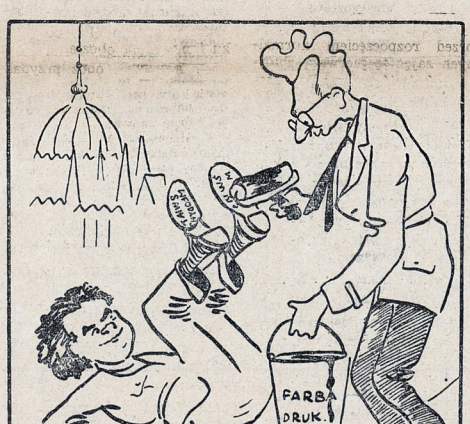

REDAKTOR NACZELNY (do swego zastępcy): No, nareszcie jesteśmy na miejscu. Już Budapeszt. Smaruj mi, Adziu, podeszwy farbą!

ZAGRANICZNI DZIENNIKARZE I KORESPONDENCI — (w różnych językach): O, widzicie, koledzy, te ślady? Tędy szli... Chodźmy prędko, to ich zaraz złapiemy. Udzielą nam wywiadu o czytelnikach „Świata Młodych".

DON KICHOT W POLSCE

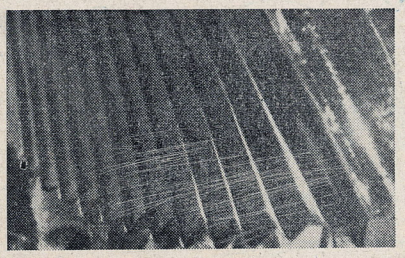

Otóż moi kochani, tak zazwyczaj bywa, kiedy się nie słucha rad naszego kochanego profesora Wścibinosa. Jak widać powyżej — a raczej, jak nie widać, bo deszcze zamazał zupełnie rysunek ob. Walentynowicza — Don Kichot, uparty a nieposłuchany, udał się z zastępem harcerzy na wycieczkę, wbrew temu, co mu oświadczył chór żab, much, tudzież ryb. Obecnie z bolącym gardłem i spuchniętym nosem leży zakatarzony pod opieką druhen-sanitariuszek, wobec czego nie może pozować do nowej serii rysunków.

Dobrze mu tak!

MGR. ALICJA WSZYSTKOWIEM

PĘDZELEK

Pędzelki dzielą się na dwie grupy: twarde - szczecinowe i miękkie - kałankowe. Te z kolei mogą być płaskie (rys. b), lub okrągłe (rys. a).

Pędzli szczecinowych używamy w malarstwie olejnym i liternictwie. Pędzli o miękkim włosiu — w malarstwie akwarelowym i również w liternictwie.

Pędzelki po pracy należy zawsze wypłukać, wytrzeć szmatką i ułożyć włos w ostry koniec. Pędzle nie umyte stają się wkrótce nie do użytku.

Przy kupnie pędzelka pośliń cie włos i popatrzcie, czy układa się on w ostry koniec; w przeciwnym razie nadaje się tylko do odkurzania patefonu. Włos musi mieć naturalne ostre zakończenie; obcięty nożyczkami — nie nadaje się do malowania.

ODPOWIADAM NA LISTY

Napierała Franek, Wąbrzeźno, lat 14. — Rysunek kredkami ładniejszy. Rysunek wykonany węglem powinien być utrwalony, aby się nie rozmazywał. Jak i czym utrwalić węgiel, dowiesz się z następnych lekcji. Dowcip zamieszczamy do oceny czytelników.

Skoczylas Paweł. — Aby rysować, trzeba mieć przede wszystkim wrodzone zdolności, które należy rozwinąć przez naukę. Specjalnego podręcznika rysunków nie ma. Istnieje natomiast szereg szkół. Na razie rysuj dużo z natury: głowy, postacie, swoją ulicę, dzbanki, książki rozrzucone. Jeśli znajdziesz okazję, przestudiuj rysowanie czaszki i szkieletu ludzkiego. Rysunki rób, jak największe, miękkim ołówkiem lub węglem drzewnym. Jeden z rysunków przyślij do oceny. Przeczytaj książkę prof. W. Lama: „Jak rozwijać twórczość malarską", cena 380 zł.

Węgrzynówna Beata, Kraków. — Rysunki bardzo ładne, trzy z nich zamieszczam. Przyślij następne. Brodę mam faktycznie krótszą.

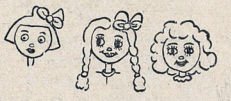

Stanek Alojzy, Chebzie. — Ćwiczenie rozwiązałeś dobrze.

Józio z Wałbrzycha. — Okręt napięć z plusem. Nie mogę rozpoznać czy na Twoim rysunku czytam, czy czeszę brodę?

Gałązka z Pacanowa. — Fe, popsułeś numer „Świata".

Rydlewski J. — Dowcip pt. „Zaraz będzie muzyka" nie nadaje się. Jeszcze raz ułożysz podobny, a przyjadę do Bydgoszczy i osobiście zerżnę Ci skórę.

Misiuk C. lat 12. — Harcerz krowy się nie boi. Rysunek ciut, ciut przypomina rysunki z Don Kichota. Czyżby ściągane?

Komorowski M. Pabianice. — Wnosi zażalenie do dyrekcji Szkoły Rysunków: „Druk niewidzialny, nie można dokładnie obejrzeć rysunków". Cóż Wy na to, kierownicy techniczni „Czytelnika"?

Zbysio z Kletrza. — Jesteś „stary" figlarz i masz już napewno czternaście lat. Za „Chmiel" przez samo „H" obraziłem się.

Maksymiak Romek. — Cieszę się że od chwili drukowania „Szkoły" zainteresowałeś się rysunkami. Rysunki siostrzyczki b. ładne. Napisz, ile ona ma lat. W nagrodę posyłam Wam książkę.

Pasek Andrzej, Guterman Kuba, Hausner Z., Zielonka Wł. — Dziękuję za rysunki.

mb.

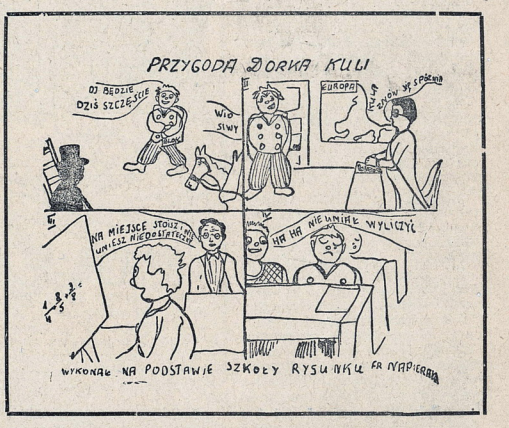

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

POD REDAKCJĄ A. NOWAKOWSKIEGO

Rozwiązanie zadań z nr 20

Krzyżówka. Poziomo: Krak, kask, karo, poza, otok, ułan, etat, limuzyna, azot, krokodyl, Ina, Al (Aluminium), sto, Adam. Albania, egzamin, toga, spór, brat.

Pionowo: komunikat, kadet, kontroler, kolumna, kaloria, łan, akt, ława, zad, Ola, Leon, Arab most.

Zagadki: 1) **Ma - pa,** 2) **Słowa - cki.**

Za dobre rozwiązanie zadań z nr 20 nagrody książkowe otrzymują:

1. **Robert Bacior** — Żarki, ul. Myszkowska 31, b. pow. Zawiercie.

2 **Kazimierz Bukowski** — Myślenice, ul. Kazimierza Wielkiego 115,

3) **Bohdan Choczewski** — Nowy Sącz, ul. Tatrzańska 18 m. 9.

4) **Marian Janikowski** — Strzelce Kraj., P.B.R. Ziemia Lubuska.

5) **Wilhelm Kronfeld** — Góra Śląska, ul. Zielona 4 m. 2.

6) **Roman Libes** — Warszawa 4, ul. 11-go Listopada 24 m. 4.

7) **Ryszard Loppe** — Żyrardów, ul. Leszno 13 m. 2.

8) **Jerzy Mańka** — Rydułtowy, ul. Piastów 17, pow. Rybnik.

9) **T. Nykulak** — Radość k. W-wy, ul. Konopnickiej 4.

10) **Halina Użycka** — Szczecin, ul. Śląska 40 m. 3.

Jakie to góry?

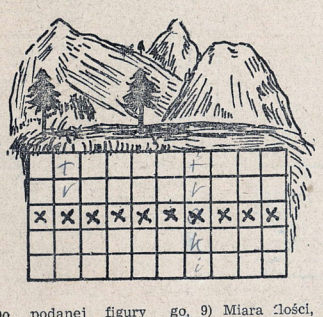

Do podanej figury wpisać pionowo 10 wyrazów pięcioliterowych o poniższych znaczeniach, mających taką samą literę początkową. Zaznaczony rząd poziomy da rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Imię żeńskie, 2) Wyznaczona droga, 3) Miasto nad Wisłą, 4) Ustalona opłata, 5) Zasadnicze części motoru, 6) Głos męski, 7) Paski do troczenia, 8) Rodzaj szerokiego noża kuchennego, 9) Miara ilości, 10) Rodzaj lustra stojącego.

M. Piątkówna — Chełm Lub.

SZARADA

TRZECIA - PIERWSZA — na mleku smakuje wybornie,
DRUGI - wspak — to część funta, wiemy to bezspornie,
CAŁA bywa ozdobna lub też zwykła z drzewa,
Najlepsza, gdy jest pełna — o tym wróbel śpiewa!

F. Szymczak — Zawiercie

W przyjaźni z książką

Niestety, zbliża się deszczowa jesień. Coraz więcej zbiórek drużyny i zastępów będzie się odbywało w budynkach. Najwyższy czas, aby pomyśleć o założeniu własnej biblioteki w drużynie lub — jeśli już ją mamy — o jej uporządkowaniu i uzupełnieniu. Pomoże nam ona bardzo w pracy harcerskiej i w nauce.

— No tak — powiecie — ale skąd wziąć na to fundusze?

Układając plan pracy drużyny i zastępów na cały rok, przewidzimy napewno niejedną imprezę zarobkową. Np. przedstawienie kukiełkowe, czy zbiórkę złomu. Naszą ambicją powinno być, aby za pierwsze zarobione pieniądze kupić właśnie książki. Bibliotekę prowadzimy stale i uzupełniamy ją systematycznie nowymi zbiorami. Nie wystarczy szczycić się jedynie ilością posiadanych książek. Muszą one także być wartościowe, aby pomagały w naszej harcerskiej pracy.

A więc nie tylko bibliotekarz, lecz cała rada drużyny decyduje, które książki są naprawdę potrzebne. Dobrze jest także poradzić się kogoś bardziej doświadczonego lub po prostu napisać do „Świata Młodych".

Książki lubią mieć własne mieszkanie. Postarajmy się więc dla nich o wygodną półkę, szafkę lub ostatecznie pudełko, czy skrzynkę. Zaraz po nabyciu nowego tomu należy wciągnąć go do spisu bibliotczki i do książki inwentarzowej drużyny, dać mu numer i przyłożyć pieczątkę drużyny. Każda książka powinna mieć swoją kartę, którą wkładamy do środka tomu. Kartę taką można kupić w sklepie lub wyciąć samemu z twardego kartonu.

Gdy książkę wypożyczymy, kartę wyjmujemy i odkładamy do specjalnego pudełka. Z chwilą zrotu wpisujemy na karcie datę oddania, kartę wkładamy z powrotem do książki. Książkę ustawiamy na półce.

Dobrze jest także zaprowadzić karty czytelnika.

Aby było łatwo znaleźć książkę (zwłaszcza, gdy mamy ich sporo), sporządzamy dwa katalogi: jeden — według nazwisk autorów, czyli alfabetyczny (zaczynając od A), drugi — działowy. Katalog działowy polega na tym, że dzielimy książki na grupy, np.: na książki podróżnicze, geograficzne, harcerskie, dziełа naukowe, powieści itd.

Gdy nie znamy dokładnie nazwiska autora, a chcemy przeczytać jakąś powieść, szukamy w odpowiednim dziale interesującego nas tytułu.

Na wypożyczenie trzeba przeznaczyć jeden lub dwa stałe dni w tygodniu i określić godziny. Najlepiej, gdy to wypadnie zaraz po szkole, lub na dużej przerwie.

Na zakończenie wypada przypomnieć, żeby książki były zawsze czyste i całe. Interesujcie się książkami! Kupiliście je nie po to, by stały bezczynnie na półce i były mieszkaniem pająków.

Dużo jest sposobów zachęcania zastępu czy drużyny do czytania, o których pisaliśmy już w „Świecie Młodych". Np. konkurs pięknego czytania (przy okazji można zdobywać sprawność recytatora). *Elżbieta Węgrzynowicz*

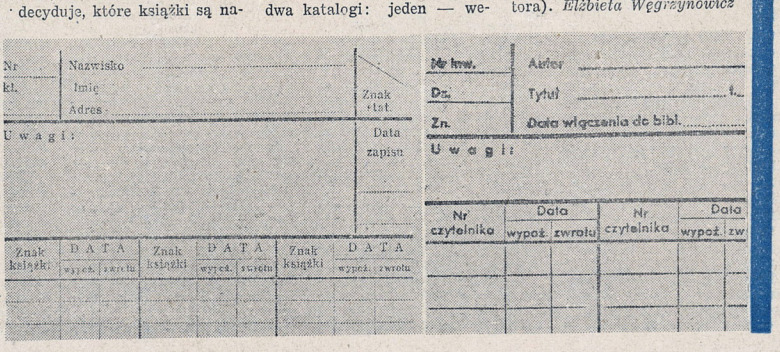

IGOR NEWERLY

KUBA ląduje w Bańdoszycach

W Częstochowie, proszę pana, mówią „ty, smyku", a w Warszawie: „ty łobuzie". Tam ludzie są grzeczniejsi.

Ale ja pewnego wieczoru wymknąłem się swoim zwyczajem i pobiegłem na miasto. Na dziedzińcu szkoły niedaleko Jasnej Góry zobaczyłem, jak Niemcy ustawili się po obiad. Kucharz w białym czepku rozlewał zupę. Nagle zawyły syreny. Coś trzasło — strzał padł, czy bomba — nie wiem, tylko kucharz runął na ziemię. Niemcy się rozbiegli. Chłopcy z Hitlerjugend zaczęli strzelać z małych karabinków, w całym mieście powstał popłoch i zamieszanie.

Uciekłem do Marty i słuchałem tej strzelaniny, zgadując, co to ma znaczyć? Nagle w nocy wszystko ucichło i przyszło wojsko polskie.

Ojciec od razu zabrał mnie do siebie.

— Tyle przeszliśmy razem, mówił, przetrzymamy jeszcze te parę tygodni — do końca. A u obcych ciebie nie zostawię.

Byłem dumny z ojca, że jest dowódcą kompanii i że słowa dotrzymał. Mój ojciec — żeby pan go widział! — to był dopiero chłop z postawą!

Jechałem z tyłu za frontem w ciężarowym samochodzie, dwa razy nawet w czołgu. Właśnie w czołgu przeprawiłem się po moście pontonowym, na tamten brzeg Odry.

Stanęliśmy nareszcie przed Berlinem. Samej bitwy nie widziałem, bo ojciec walczył daleko, w pierwszej linii, a ja byłem z taborami. Od wybuchów ziemia dygotała jak w febrze, łuna łyskała po nocach na pół nieba.

Pewnego razu, gdy robiono przegrupowanie, ojciec z kompanią przybył do mnie. Spaliśmy obok siebie i znów jeden drugiego kocem okrywał, jak się we śnie rozkopał.

W tym czasie kolega ojca przyprowadził czterech gestapowców z trupimi główkami na czapkach i dał mi rewolwer, żebym draniów zastrzelił. Ja nie chciałem, a on wciąż mnie namawiał:

— Strzelaj! Ja bym na twoim miejscu za to, coś wycierpiał, po dziesięć kul im wpakował.

Ale ja się brzydziłem. Akurat przyszedł ojciec i tamtego zwymyślał

— Daj spokój, to jeszcze dziecko.

Poszliśmy z ojcem na łąki i urządziliśmy Olimpiadę. Ostatni raz wtedy ojciec skakał przez płotki.

W kilka dni później został ranny w pachwinę i dwa miesiące przeleżał w szpitalu.

Przybyliśmy do Warszawy szpitalnym autem. Ojciec chodził o kulach, prawą nogę podwiązywał parcianym pasem, żeby nie rozciągała rany w pachwinie.

Nasze mieszkanie zastaliśmy rozbite. Poszedł ojciec na Czerniaków, do swojego żołnierza, Bąka, który stracił rękę, ale nogi miał do myszkowania za trzech.

— Panie kapitanie — wołał przy poczęstunku — będzie pan miał generalskie mieszkanko, jakem Bąk!

I rzeczywiście zaprowadził nas na Stępińską, do mieszkania z ładnymi meblami po Niemcach. Zawiesiliśmy zaraz kłódkę i swoją tabliczkę. Po kilku dniach zjawiła się w tym domu administratorka, więc ojciec zameldował się i zapłacił z góry za cztery miesiące.

Ojciec nie mógł w miejscu usiedzieć, jakiś miał w sobie niepokój. Ciągle coś kombinował, gdzieś się wybierał.

— Tatusiu, proszę, niech tatuś nie wychodzi. Doktór zabronił.

— Muszę się śpieszyć, synku. Muszę ciebie urządzić.

Od tego chodzenia czuł się coraz gorzej, aż 15 lipca wcale z łóżka nie wstał. Otworzyła się rana i tatuś dostał gorączki. To był straszny dzień.

— Zimne mam plecy — skarżył się tatuś — i w piersi jakby mi kto bagnet wbił. To już kapitulacja, Kubuś, kapitulacja... Widzisz, nie zdążyłem cię uposażyć. A teraz co? Nikogo z rodziny nie zostało. Tylko brata mam, ale daleko, w Meksyku. Dobrze jemu się powodzi. Napisz, żeby się tobą zaopiekował, żeby ci pomógł. Adres pamiętasz?

Trzy razy musiałem adres stryjka ojcu powtarzać na dowód, że pamiętam. Wtedy uspokoił się trochę. Możeby i zasnął, ale przyszła ta kobieta. Odnalazła go i to w taki dzień!

Zaczęła ojca prosić, żeby się z nią ożenił.

— Kobieto, mówi ojciec, czy ty nie widzisz, że ja się kończę?!

Ale ona wciąż swoje, że jej przyrzekł, że ludzie już wiedzą i jak ona im teraz w oczy spojrzy?

Nawymyślała, naurągała, drzwiami trzasnęła i wybiegła.

Wziąłem pogrzebacz i stanąłem przy drzwiach.

— Jeśli przyjdzie — postanowiłem — to babę zatłukę, a nie wpuszczę.

Tymczasem ona przyszła z księdzem. No i jak tu tłuc przy duchownej osobie?

A ten ksiądz był kiedyś kapelanem u ojca w pułku. Ojciec go poznał. Ksiądz kapelan usiadł na łóżku i coś tam tłumaczył, nie wiem co, tylko ojciec w końcu się zgodził i rękę dał, żeby go związał z tą kobietą taką długą wstęgą — no wie pan? — co ksiądz nosi na szyji... Zapomniałem, jak się to nazywa.

— Stuła.

— Więc stułą związał i poszedł. Kobieta także odeszła, bo mówiła, że musi jechać na wieś do krewnych po pożyczkę. A ojciec w parę godzin po ślubie umarł.

Ja czekam dzień, czekam dwa... — ta kobieta, niby teraz moja macocha, wcale nie wraca! W pokoju gorąco — lipiec... Długo czekać nie można. Co robić? Za nic nie chcę, żeby ojca opieka miejscа pochowała w niehebelowanych deskach.

— Słuchaj, Kuba — mówi pani Maliszewska, sąsiadka — po co tobie takie piękne meble? Sprzedajmy parę gratów. Jakį chcesz ojcu wyprawić pogrzeb?

— Prawdziwy, jak się należy...

Sprzedaliśmy niklowane łóżko, kredens orzechowy, w którym było 200 haftowanych serwetek, stół rozsuwany z czterema krzesłami i ośmiolampowy żyrandol.

Obstalowaliśmy ładną trumnę. Przyszli mężczyźni, umyli ojca, ubrali i włożyli do trumny.

Zajechał prawdziwy karawan z czarnymi końmi w srebrne frendzle i poszliśmy za karawanem na czerniakowski cmentarz: ja, pani Maliszewska i Bąk bez ręki, z trzema żołnierzami tatusia, których zdążył zawiadomić.

Bąk mnie zrugał za to, że sprzedałem meble. Bo gdybym do niego przyszedł, to on znalazł by pieniądze.

— Są jeszcze ludzie, którzy kapitana pamiętają.

Tak mówił i pocieszał, żebym się nie martwił o swój los.

Ale co mi tam meble! Grunt, że tatusia ładnie pochowałem. Nie było tylko krzyża i blachy. Na krzyż nie starczyło pieniędzy, więc sam go zrobiłem — nie duży, mojego wzrostu, i sam go wkopałem. I blachę przybiłem, bo blacha była gotowa w zakładzie pogrzebowym, ale wtedy zapomniałem.

Zostałem sam w mieszkaniu i czekam, kiedy wróci ta kobieta...

— Dlaczego ciągle mówisz „ta kobieta"? — spytałem Kuby. — Miała ona przecież jakieś imię, nazwisko...

— Nie chcę znać jej imienia! — zawołał z nienawiścią Kuba. — Niech zapomnę, jak ona wyglądała i jaki miała głos!

Uspokoił się po dłuższej pauzie.

...Ojca pochowałem 19 lipca, a ona przyjechała 21-go. Od razu jak tylko weszła, zauważyła, że niema kredensu i żyrandola. Pobiegła do sypialni. Widzi, że i łóżka niema.

— Gdzie meble? — krzyczy taka wściekła, aż jej pieprzyk na policzku zupełnie zburaczał.

— Sprzedałem, — mówię spokojnie i dalej obieram kartofle na obiad.

— Jak śmiałeś, idioto, rządzić się w moim domu?

— Dlaczego pani nie pyta o mojego ojca? — odpowiadam jej na to. — Czy pani brała ślub z nim czy z meblami.

Łapie ona wtedy kule ojca, które stały w kącie i zamierza się na mnie. Ona na mnie kulami, a ja na nią wiadrem!

— No uderz, no spróbuj tylko! Mam tatusia parabelkę. Zastrzelę jak papugę!

Żadnego Parabellum nie miałem, ale ona uwierzyła! Pobiegła wystraszona do komisariatu i melduje dyżurnemu milicjantowi, że pasierb chce ją zastrzelić, ma rewolwer i dużo amunicji! Na ten wrzask wyjrzał z gabinetu komendant. Ona do niego. Jak mu powiedziała nazwisko i adres, to bardzo się przejął sprawą, zaraz posłał po mnie.

Przyprowadza mnie milicjant do komendanta, patrzę — przecież to porucznik z naszego batalionu, kolega ojca!

A on mnie ściska i serdecznie wypytuje o tatusia, o to, jak się nam powodzi. Powiadam, że tatuś umarł, że mieszkać muszę przy tej kobiecie, która została moją macochą, i tak dalej — całą prawdę do dna.

— Wyjdź, Kuba, do dyżurki i zaczekaj. Ja z nią zaraz pomówię.

Wie pan, jakie to było mówienie? On miał taki głos jak pan! Milicjanci o mało z taborków nie pospadali, gdy on zaczął ją sztorcować.

Wyszła ona od komendanta jak landrynka czerwona i słodka.

— Daj, Kubuś, rączkę, — powiedziała głośno, żeby milicjanci usłyszeli. — Pan komendant kazał, żebyś był grzeczny.

Przez trzy miesiące miałem święty spokój. Zabrałem się do nauki i nawet bez specjalnego wstrętu chodziłem do szkoły.

Ale pewnego wieczoru — w listopadzie — przyszła ona z mężczyzną. Ten tylko mnie zobaczył, od razu:

— A to co za szczeniak?!

Aha, pomyślałem, wzięła sobie gościa, żeby mnie bił. Tym razem jednak nie bił, bo ona coś mu do ucha powiedziała, a do mnie:

— Ten pan będzie moim mężem, bo twój ojciec mnie nie chciał!

Przychodził on często na kolację, ale mnie nie ruszał. I kiedy się oni pobrali, to też mnie nie ruszał. Dopiero w lutym zbił mnie i wyrzucił na schody. Przesiedziałem tam całą noc, a nazajutrz dowiedziałem się, że mój komendant został przeniesiony do innego miasta. Teraz już się nikogo nie bali. Nieraz nocowałem na schodach — dlatego mam chrypę.

Było mi tak źle, że czekałem tylko na wiosnę, na 11-ty maja, bo 11-go maja w czterdziestym trzecim roku ojciec wyprowadził mnie od niej.

11-go maja czterdziestego szóstego roku znów wyszedłem z jej domu. Dokąd? Wszystko jedno dokąd. Nigdzie gorzej być nie mogło.

Pomaszerowałem na Pragę. Do pociągu nie dostałem się, więc poszedłem na punkt kontrolny, gdzie milicja sprawdza rozkazy jazdy samochodów. Tu wlazłem do ciężarówki, w której jechały mleczarki z pustymi bańkami, i rozstałem się z Warszawą bez żalu. Nawet Bąk mnie zdradził. Mówił, żebym się nie martwił o swój los, tymczasem nawet do mnie nie zajrzał. Dopiero po roku dowiedziałem się, że Bąk zaglądał dwa razy, kiedy byłem w szkole i zostawił tej kobiecie dla mnie pieniądze — składkowe pieniądze!

A może pan ma już dosyć mojego opowiadania? Może pan dalej nie chce?

— Nie Kubo, mów dalej. Do końca — jakeśmy się spotkali.

— No to fajnie — ucieszył się Kuba. — Myślałem, że panu się sprzykrzyło...

A więc rozmówiłem się w ciężarówce z jedną mleczarką. Wzięła mnie do siebie, żebym pomagał w gospodarstwie. Ale po dwóch tygodniach musiałem pójść do innej wsi, potem znów do innej i tak dostałem się do Szczepankowa. Tu wziął mnie jeden gospodarz do bydła za życie i buty. Życie dawał marne, tylko chleb i mleko, nic gotowanego, a buty miałem dostać na jesieni.

Pewnego ranka gnałem drogą moje dwa konie i cztery krowy. Na nic nie liczyłem w tym dniu, na żadną zmianę, bo to była rocznica śmierci tatusia: 15 lipca. Ale stało się inaczej.

Dogoniła mnie kolumna samochodowa: dwa sztudebekery, dwie pancerki i jeden dodż. Z pierwszego wozu wychylił się porucznik:

— Powiedzcie, obywatelu, którędy jechać do starego młyna?

Myślałem, że kpi sobie ze mnie, bo nikt do mnie nie mówił „obywatelu". Wskazałem mu drogę, też z poważnym obywatelskim słowem:

— Tędy, obywatelu poruczniku, za mostkiem na prawo.

— O, znacie się, widzę, na odznakach!

To mnie trochę zgniewało. Co on sobie myśli: wsiowa ciamajdę spotkał?! Ja już w cztery latka odróżniałem każdą szarżę!

Powiedziałem więc ze złością:

— Jak pan porucznik do szkół chodził, to ja już byłem w pułku!

Żołnierze zatrzęśli się w autach, ryczeli ze śmiechu.

— Ale przygadał... Chorąży! Przyjdź do nas, mały chorąży! W starym młynie będziemy.

Pokręczyli i odjechali, wymachując do mnie, a ja patrzę im w ślad, jak domowa kaczka patrzy na lot dzikiej: żołnierze z dalekiego świata! Może któryś zna mojego ojca?

Wieczorem poszedłem do nich. Zobaczyłem mandolinę.

— Czy można zagrać?

— Można, jeśli umiesz.

Jak zagrałem im „Rozamundę", to sami poprosili o więcej. Dopiero porucznik odciągnął mnie od mandoliny, zaczął wypytywać, co tu na wsi robię, skąd jestem — o całe moje życie. Powiedziałem trochę, to on kazał, żebym przychodził do nich na obiady.

Zaprzyjaźniłem się z tym porucznikiem i on mi poradził, żebym się zabrał z nimi.

Po południu przygnałem wcześniej krowy, ale gospodarz krzyknął, że dostanę baty, więc zawróciłem na pastwisko. Cały czas byłem niespokojny. Słyszałem strzały, ale nie przyszło mi do głowy, że to porucznik daje mi znak. Dopiero przybiegły dwie zadyszane dziewczynki:

— Porucznik cię woła. Oni już odjeżdżają!

Rozciąłem koniowi pęta kozikiem i pomknąłem na oklep do młyna. Przy samochodach zebrała się już cała wieś. Gospodarz mój także był.

— Nie wypada, żebym cię zabierał na oczach całej wsi — powiedział do mnie po cichu porucznik. — Przybiegnij do Zambrowa. My tam będziemy w koszarach.

Ledwo samochody ruszyły, gospodarz rzucił się na mnie. Odskoczyłem. Wtedy on cisnął we mnie kijem i trafił w piętę. Pognałem za samochodem. Porucznik, widząc to wszystko, zaszeptał szoferowi: „wolniej, wolniej!" Dopadłem samochodu. Porucznik chwycił mnie za kołnierz, aż koszula pękła, i rzucił do wozu.

W zambrowskich koszarach spędziłem dwa miesiące. Sprawili mi nowiutki mundur na miarę, wysokie buty, czapkę... Wszyscy się cieszyli, że tak elegancko wyglądam. Byłem przecież synem pułku. Nie wierzy pan? Zaraz panu powiem, który pułk i której dywizji...

Pułk poszedł do Siedlec i tam odbyła się defilada przed generałem. Na czele szedł dowódca pułku z zastępcą, a ja w środku. Przed generałem „przybijaliśmy" nieduży kawałek, ale ja tak waliłem nogami, że potem chodzić nie mogłem i do koszar wróciłem na samochodzie.

Pułk wyruszył w teren, na walkę z bandami. Zrobiono też obławę i na wilki. Żołnierze złapali 6 młodych i przynieśli do mnie, a ja zbudowałem dla nich zagrodę w kątku między stodołą a chlewem. Ale w nocy przyszły wilczyce, podkopały i uprowadziły wszystkie wilczki, tylko jeden został — sierotka.

Chowałem sierotkę cztery miesiące. Wszystkich gryzł, ale do mnie się łasił chwytał na niby. Szedł za mną wszędzie, aż do Kosowa.

Pod Kosowem wywiązała się bitwa. Pobiegłem do auta, żeby podać żołnierzom amunicję. Sierotka na mój widok wystawił się z samochodu do połowy i zawył z radości. Leśni dali ognia, położyli sierotkę trupem, a mnie w nogę drasnęli — o tu, w łydkę — niech pan poświeci latarką... Widzi pan znak?

Jak mi oni sierotkę zabili, to ja im poprzysiągłem zemstę.

C. D. NASTĄPI

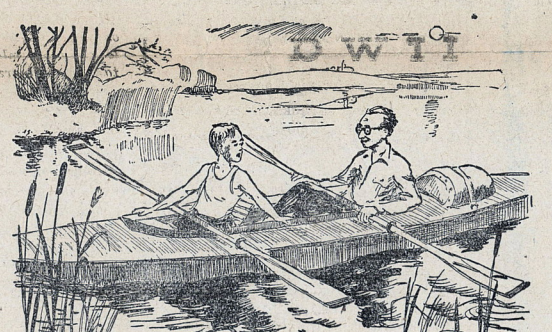

— Nie Kubo, mów dalej. Do końca — jakeśmy się spotkali.

Sport MŁODYCH

Irena Dobranowska

rozmowa z czternastoletnią mistrzynią

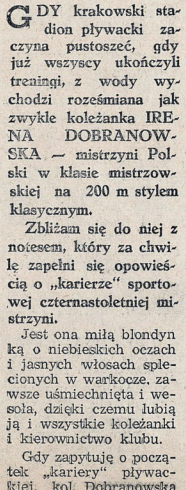

GDY krakowski stadion pływacki zaczyna pustoszeć, gdy już wszyscy ukończyli treningi, z wody wychodzi roześmiana jak zwykle koleżanka IRENA DOBRANOWSKA — mistrzyni Polski w klasie mistrzowskiej na 200 m stylem klasycznym.

Zbliżam się do niej z notesem, który za chwilę zapełni się opowieścią o „karierze" sportowej czternastoletniej mistrzyni.

Jest ona miłą blondyną o niebieskich oczach i jasnych włosach splecionych w warkocze, zawsze uśmiechnięta i wesoła, dzięki czemu lubią ją i wszystkie koleżanki i kierownictwo klubu.

Gdy zapytuję o początek „kariery" pływackiej, kol. Dobranowska wyjaśnia mi, że zaczęła pływać w barwach „Cracovii" na wiosnę 1948 r. Już pierwszy jej występ był nielada sensacją — oto 13-letnia zawodniczka, zupełnie nikomu nieznana, ustanawia nowy rekord Krakowa na 100 m stylem klasycznym, osiągając czas — 1,39. Odtąd rekord Krakowa na tym dystansie ustawicznie się zmienia i obecnie — dzięki kol. Irenie — wynosi 1.35,4.

W kilka miesięcy po pierwszej „sensacji" Dobranowska zdobywa kla sę mistrzowską na 100 i 200 m stylem klasycznym, osiągając doskonałe czasy: 1,37 oraz 3,35.

W 1948 r. kol. Irena uczestniczyła w Igrzyskach Zawodowych w Warszawie, osiągając niewątpliwy sukces, jakim było zajęcie drugiego miejsca (na 100 m) za ówczesną mistrzynią Polski — Kaletową.

— Przed tegorocznymi mistrzostwami Polski miałam ogromną tremę — opowiada kol. Irena, a jej trener dodaje w secie, że aż płakała z tej tremy — ale mimo to, zdobyłam mistrzostwo Polski na 200 metrów stylem klasycznym w klasie mistrzowskiej, osiągając czas 3,21,7.

Rekord życiowy na 100 m — 1,34,3 padł na Igrzyskach Szkolnych w Warszawie, gdzie — niestety — startowała poza konkursem.

*

A oto kol. Irena oglądana nie z perspektywy trybuny czy basenu:

Młoda mistrzyni pójdzie teraz do IX klasy. Jest dobrą uczennicą szkoły ogólnokształcącej im. Hoene - Wrońskiego w Krakowie. Irena nigdy nie zaniedbuje obowiązków szkolnych dla sportu. Prócz tego nie ogranicza się wyłącznie do pływania. Jeździ na nartach, gra w siatkówkę. Prócz sportu ubóstwia książki, bo...

— ... kowbojskich i kryminalnych nienawidzę — mówi.

— Po ukończeniu szkoły chciałabym udać się na medycynę, by zostać lekarką sportową. A już najgorętszym moim marzeniem jest pobicie krajowego rekordu i... wyjazd na Olimpiadę, by zająć jakieś punktowane miejsce dla Polski.

Ojciec Ireny jest szoferem. Często widywałem go siedzącego na trybunach, rozpromienionego triumfami swej jedynaczki. Właśnie teraz przyszedł po córkę. Żegnam się więc, życząc jej sukcesów w imieniu własnym i czytelników „Świata Młodych".

Janusz Roszko

»TOUR« rozpoczęty

22 wyruszyli z Warszawy kolarze do trzeciego po wojnie biegu „Tour de Pologne". Oto zwycięzcy:

1947

GRZELAK.

1948

WÓJCIK.

1949

?

Tak zdają normy pionierzy

W Związku Radzieckim istnieją ustalone normy sportowe dla dzieci. Normy te na odznakę sprawności fizycznej (GTO) pionierzy zdają obecnie podczas obozów letnich.

U nas na obozach, o czym zresztą wiele pisaliśmy, harcerze mieli możność zdobycia Odznaki Sprawności Fizycznej.

Jak zorganizowali to sobie nasi koledzy radzieccy, opisuje w „Pionierskiej Prawdzie" Tania Makiejewa:

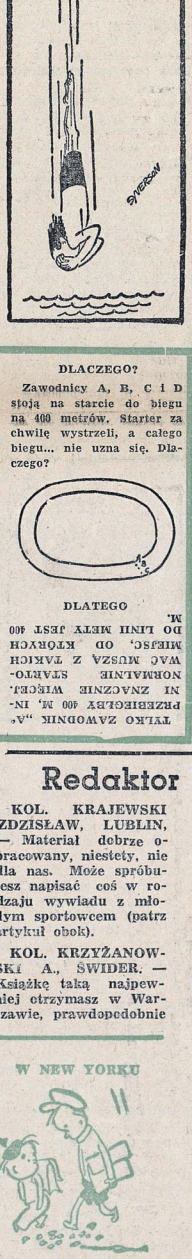

„Kiedy dowiedzieliśmy się, że dla pionierów wyznaczone są nowe sportowe normy, rada obozu postanowiła natychmiast przeprowadzić zawody, aby przekonać się, jakie obóz nasz uzyskać może wyniki. Specjalna grupa chłopców i dziewcząt otrzymała zadanie odmierzenia bieżni, przygotowania miejsc do skoków i rzutów, przywiezienia piasku, przygotowania granatów, piłek itd.

Funkcje sędziów sprawowali również pionierzy, zaś głównym sędzią był instruktor wychowania fizycznego Włodzimierz Aleksandrowicz.

I chociaż wszyscy lekceważąco twierdzili, że normy — to dla nich fraszka, potajemnie trenowali skoki i biegi. Rezultat? Tylko kilkoro dzieci zdawać będzie normy po raz drugi".

A oto wyniki uzyskane na obozie:

CHŁOPCY

1. Bieg 60 m
2. Rzut granatem
3. Skok w dal
4. Skok wzwyż

	1.	2.	3.	4.
Blinkow	8 sek.	32 m	4,45 m	1,27 m
Kozunkow	8,5	28	4,10	1,20
Gajewskij	8,2	29	4,20	1,25
Parszyn	8,4	27	4,00	1,22
Kuleszow	8,6	24	4,05	1,15

DZIEWCZĘTA

Ruczkina	9,2	25	3,45	1,15
Makiejewa	9,1	25	3,47	1,18
Borczunowa	9,4	22	3,40	1,10
Puszkariewa	9,4	22	3,43	1,10
Sawina	9,7	20	3,42	1,10

DLACZEGO?

Zawodnicy A, B, C i D stoją na starcie do biegu na 400 metrów. Starter za chwilę wystrzeli, a całego biegu... nie uzna się. Dlaczego?

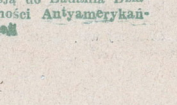

DLATEGO

„A" PRZEBIEGŁBY 400 M. IN-NI ZNACZNIE WIĘCEJ. NORMALNIE STARTUJE WAS MUSZĄ Z TAKICH MIEJSC, OD KTÓRYCH DO LINII METR JEST 400 M.

Gimnastyki

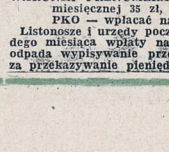

Ćwiczenie 11. Wsparcie rąk o poręcz krzesła — przysiadanie i rozprostowywanie nóg. Na 1 — wspięcie na palce, na 2 — przysiad, na 3 wyprost nóg w kolanach, na 4 — powrót na stopy.

Ćwiczenie 12. Rozkrok. Wymachy ramion w przód i w tył, na przemian lewą i prawą ręką. Na każdy takt liczenia — zmiana ramion. Np.: 1 — prawe ramię do przodu, lewe w tył, na 2 — lewe ramię do przodu, prawe w tył itd.

Redaktor sportowy odpowiada

KOL. KRAJEWSKI ZDZISŁAW, LUBLIN. — Materiał dobrze opracowany, niestety, nie dla nas. Może spróbujesz napisać coś w rodzaju wywiadu z młodym sportowcem (patrz artykuł obok).

KOL. KRZYŻANOWSKI A., ŚWIDER. — Książkę taką najpewniej otrzymasz w Warszawie, prawdopodobnie najlepiej w księgarni „Prasy Wojskowej", ul. Królewska.

C.S. — Mistrzem świata w wadze średniej nie jest ani Zaleski, ani Cerdan. Ten ostatni pokonał Tony Zale - Zaleskiego jeszcze jesienią ub. roku. Sam zaś w czerwcu przegrał w ósmej rundzie przez techn K.O. z La Motta.

KOL. WEBER ANIELA, ŚWINOUJŚCIE. — Wyniki, uzyskiwane przez ciebie, są zupełnie dobre i świadczą, że przy pilnym treningu możesz je znacznie poprawić. Życzymy powodzenia.

KOL. CZYŻ ROMAN. WROCŁAW. — W piłkę nożną z Czechosłowacją graliśmy dwukrotnie. W 1947 r. w Pradze uległiśmy 3:6, zaś w r. 1948 w Warszawie wygraliśmy 3:1. Skład w Pradze: Janik, Szczepaniak, Flaczek, Piec II, Parpan Gajdzik, Hogendorf, Przycherka, Gracz, Cebula (Anioła), Cieślik, Bobula, (Białas).

W NEW YORKU

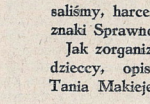

— Jak mi nie dasz ściągnąć zadania, to cię zadenuncjuję przed Komisją do Badania Działalności Antyamerykańskiej

Pod redakcją mistrza Gawlikowskiego

Dalszy ciąg konkursu egzaminu

W ramach naszego konkursu - egzaminu, którego regulamin ogłosiliśmy tydzień temu — **podajemy trzy dalsze pozycje, które należy ocenić: określić, kto stoi lepiej, dlaczego, naszkicować plan gry dla obu stron.** W zasadzie nie chodzi tym razem o podawanie ścisłych wariantów, a raczej o ogólną opinię, nie mniej — jeśli w pozycji tkwi „przypadkiem" jakaś kombinacyjka, zmieniająca zasadniczo sytuację — prosimy ją również oczywiście podać.

Zadanie 4
Posunięcie białych.

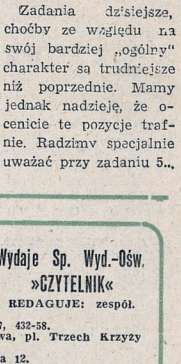

Zadanie 5
Posunięcie czarnych

Zadanie 6
Posunięcie czarnych

Zadania dzisiejsze, choćby ze względu na swój bardziej „ogólny" charakter są trudniejsze niż poprzednie. Mamy jednak nadzieję, że ocenicie te pozycje trafnie. Radzimy specjalnie uważać przy zadaniu 5..

TYGODNIK ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO

Świat MŁODYCH

Wydaje Sp. Wyd.-Ośw. »CZYTELNIK«

REDAGUJE: zespół.

ADRES REDAKCJI: Wa... Dworkowa 1/3, tel.: 432-57, 432-58.
ADRES ADMINISTRACJI: (dział prenumeraty): Warszawa, pl. Trzech Krzyży 16, tel. 810-26.
ZŁOŻONO w Zakł. Graficznych „RSW" Prasa — Smolna 12.
DRUK: Sp. Wyd.-Ośw. „CZYTELNIK", Druk. Nr 2, Marszałkowska 3/5.
WARUNKI PRENUMERATY: Cena egzemplarza 10 złotych w prenumeracie miesięcznej 35 zł, kwartalnej 100 zł. Prenumeratę zamawiać przekazem PKO — wpłacać na konto czekowe PKO I-8001 „Świat Młodych".
Listonosze i urzędy pocztowe w całym kraju przyjmują w terminie do 20 każdego miesiąca wpłaty na tzw. prenumeratę zleconą, przy którym to systemie odpada wypisywanie przekazów i zamówień oraz unika się opłat pocztowych za przekazywanie pieniędzy i za ewentualne reklamacje.

B-84107